Nr. 42. Lwów — Czwartek dnia 20 Lutego. Rok 1896.

Wychodzi w dni powszednie o godzinie 3 po południu z datą dnia następnego.

NUMER KOSZTUJE
we Lwowie . . . . . 4 ct.
na Prowincyi . . . . . 6 „
Num. z poprzednich miesięcy po 10 ct.

Wszelkie „Doniesienia prywatne“ jakoto o zaręczynach, ślubach, weselach, nabożeństwach żałobnych, pogrzebach, wszelkie nekrologi, opisy uczt i zabaw prywatnych, wszelkie reklamy dla balów, odczytów i koncertów, wszelkie spisy składek, doniesienia o zgubach lub o znalezionych przedmiotach i t. d. i t. d. po 50 centów od wiersza

PRZEGLĄD

POLITYCZNY, SPOŁECZNY I LITERACKI.

Prenumerata z przesyłką pocztową wynosi:
w kraju i w Austryi miesięcznie 1 zł. —
w Niemczech „ 1 „ 50
w innych państwach „ 2 „ —

Za zmianę adresu opłaca się 20 ct. Opłatę należy uiścić równocześnie z żądaniem zmiany adresu.

CENY OGŁOSZEŃ
Zwyczajne ogłoszenia na czwartej stronicy:
Wiersz petitowy albo jego miejsce . . .
W „Drobnych ogłoszeniach“ za każde słowo drukiem petitowym po . . .
za słowo tłustym garmondem po . . .
Korespondencye prywatne za każde słowo drukiem petitowym po . . .
Nadesłane na trzeciej stronicy:
Ogłoszenia, wiersz petitowy albo jego miejsce
Reklamy . . .
Nekrologia . . .
Ogłoszenia do „Przeglądu“ przyjmuje „BIURO DZIENNIKÓW“ ul. Karola Ludwika l. 9.

Dziś:	św. Nicefora	Fteodora M.	Adres Redakcyi i Administracyi: Ulica Sykstuska l. 45.	Naczelny Redaktor i Wydawca: LUDWIK MASŁOWSKI.	Wschód słońca g. 7 m. 6	Długość dnia g. 10 m. 17
Jutro:	św. Eleonory	Nykyfora M.			Zachód „ 5 „ 23	Przybyło dnia od wczoraj 3 m.

Od Administracyi.

***Przypominamy**, że prenumerata kwartalna PRZEGLĄDU (z przesyłką pocztową) wynosi 3 zł. 30 centów i że kto przesyła mniejsze kwoty (naprzykład 3 zł. lub 3 zł. 10 ct. lub 3 zł. 20 centów) tego upisujemy tylko na 2½ miesiąca.*

***Przypominamy**, że zmiana adresu kosztuje 20 centów i że kwotę tę należy uiścić równocześnie z żądaniem zmiany adresu. Oświadczenie, że opłata za zmianę adresu uskuteczniona zostanie przy sposobności odnowienia abonamentu, nie będzie uwzględnione.*

Przegląd polityczny.

Lwów 19 lutego.

Lotem błyskawicy przemknęła po Europie wiadomość o dotarciu przez Nansena do bieguna północnego. Pierwsze doniesienie o tem nadeszło z Kołymska w Syberyi Wschodniej, od kupca Kusznarewa, który z tą ważną nowiną wysłał Jakuta tak zwaną „psią pocztą“ do radzcy okręgowego w Irkucku p. Kondakowa. Innych wiadomości dotąd nie ma, ale ta pierwsza uważana jest za prawie pewną. Poseł szwedzki w Petersburgu prosił rządu rosyjskiego o zbadanie, kto są ci panowie Kusznarew i Kondaków i czy zasługują na zaufanie, a jednocześnie konsulowie angielscy i amerykańscy w Syberyi otrzymali od swych rządów polecenie zdać natychmiast szczegółowy raport o tej sprawie. Tak otrzymano wyjaśnienia, które pozwalają brać zupełnie na seryo wiadomość o dotarciu Nansena do bieguna. W Norwegii, która urządziła tę ekspedycyę, zapanowała ogromna radość i stowarzyszenie geograficzne odbyło uroczyste posiedzenie, na którem stwierdzono, że ważnego dla nauki odkrycia dokonał Norweg. Rzeczywiście wszystko przemawia za tem, że wiadomość z Kołymska nie jest bajką. Przedewszystkiem sam dr. Frithjof Nansen, urodzony w r. 1861 w pobliżu Chrystyanii, jest poważnym uczonym i niezrównanego hartu podróżnikiem. Do bieguna robił on poprzednio już dwie wycieczki i w pierwszej w roku 1882 dotarł bardzo daleko, ale był porwany przez ogromne masy lodu, płynącego jak góry od bieguna ku Atlantykowi; one zaniosły go ku Islandyi, skąd wrócił do ojczyzny. Z tej wycieczki przywiózł on wiele spostrzeżeń astronomicznych, przyjętych z uznaniem przez świat naukowy, a nadto postawił hipotezę, że jeśli na biegunie jest ziemia, to brzegi jej bliżej przysuwają się do Ameryki lub Syberyi, niż do Szpicbergu i Ziemi Franciszka Józefa. Przypuszczał nawet, że Grenlandya łączy się z biegunem. Więc w r. 1888 przedsięwziął drugą podróż tą, jak mniemał, lądową drogą. Z rybackiej osady Frederiksdal na południowym szpicu Grenlandyi puścił się w głąb tej ziemi na nartach z kilku odważnymi Eskimosami, kiedy jednak dostał się do pustyni, pokrytej wiecznym śniegiem, gdzie niemal bez przerwy trwały zamiecie i huragany, wówczas Eskimosi odmówili mu towarzystwa, a i sam widział, że tą drogą nie dójdzie do celu. Znowu tedy wrócił do kraju, gdzie wkrótce wydał znane dzieło o Grenlandyi i tak się niem wsławił, że choć nie miał jeszcze lat trzydziestu, zamianowano go kuratorem muzeum w Chrystyanii. On jednak ciągle myślał o biegunie. Na jego wniosek, stowarzyszenie geograficzne zajęło się urządzeniem nowej ekspedycyi, państwo sutym datkiem przyszło w pomoc, zbudowano w rządowych warsztatach statek o podwójnych ścianach, zaopatrzono go w najlepsze narzędzia, w żywność na trzy lata — i oto znowu Nansen wyruszył, a było to rok temu. Obrał teraz drogę wzdłuż brzegów Syberyi aż do morza Nordenskjölda, tam minął gromadkę wysp Nowo-Syberyjskich, wykrytych stosunkowo niedawno, i wpłynął na puste morze, pełne jakichś gwałtownych i sprzecznych prądów. Jeden z nich porwał go i zaniósł ku ujściu rzeki Kołymy, gdzie leży kilka małych wyspek Niedźwiedzich, zawsze bezludnych, odwiedzanych jednak w lipcu i sierpniu przez Jakutów, których kupiec Kusznarew używa do połowu ryb i polowania wszędzie. Ci Jakuci zawieźli go do Kołymska, gdzie poznał się z owym kupcem i radzcą Kondakowem, ludźmi wykształconymi, którzy już dawniej założyli stowarzyszenie badaczy oceanu Lodowatego. Od nich otrzymał mnóstwo cennych wskazówek, między którymi ta była dlań najważniejsza, że regularnie co roku o pewnej porze, mianowicie jesienią, powstaje silny prąd, który niby wartka rzeka płynie wśród morza z cieśniny Beringa wzdłuż wybrzeży syberyjskich, tworzy tak zwaną „drogę De-Longa“, a koło wysp Niedźwiedzich zwraca się na północ i pędzi z taką siłą, iż rozrywa góry płynącego lodu. Ta rzeka na morzu, w skutek tego, że jest niezmiernie bystra, nigdy nie zamarza. Wśród spiętrzonych lodów, które tworzą nieprzerwaną, ruchomą, ale twardą powłokę oceanu Lodowatego, ta rzeka przedstawia się jak kanał zawsze otwarty. Ale trwa to zaledwo parę tygodni; prąd staje się coraz powolniejszym, aż wreszcie całkiem ustaje, a wtedy i ów kanał znika. Podobne zjawiska istnieją na wszystkich oceanach i są dobrze znane, tylko o owym nikt nie wiedział; podobno zaś pojawia się ono od niedawna, i o ile można o niem sądzić z opowiadań dzikich Jakutów, na których świadectwa niewiele można liczyć, bo i oni odwiedzają te głuche strony tylko rzadko i na krótko. W każdym razie Nansen postanowił skorzystać z owego prądu, a Kusznarew i Kondakow poczynili mu różne ułatwienia. Pierwszy z nich wysłał po kilka Jakutów na wszystkie najdalsze wysepki, aby przez nich otrzymywać wiadomości od Nansena, drugi zorganizował z Kołymska do Jakucka „pocztę psią“, to znaczy jazdę na maluczkich saneczkach, ciągnionych bardzo prędko od stacyi do stacyi przez kilkanaście wytresowanych psów. Parę miesięcy temu Nansen wyruszył do bieguna, a właśnie teraz nadeszła od niego do Kusznarewa wiadomość, że już powraca, odkrywszy ziemię, oczywiście zawaloną lodem, i poczyniwszy naukowe spostrzeżenia, które przekonały go o tem, że jest na biegunie. Brak następnych wiadomości tłómaczy się dostatecznie faktem, iż od najdalszych wysp Benetta, Fadiejewa i Kotelnej do syberyjskiego brzegu mogło pomiędzy lodami prześliznąć się czółenko Jakuta, ale okręt musiał zatrzymać się przy owych wyspach. — Naukowa wartość ekspedycyi Nansena będzie zapewne wielka, jego spostrzeżenia rzucą może światło na wiele zagadkowych dotąd zjawisk arktycznych, a dla wszystkich ta podróż Nansena pozostanie wzorowym przykładem nadzwyczajnej wytrwałości i odwagi. Takim hartownym — cześć!

Stosunki między Anglią a Transwaalem nagle się zepsuły i nastąpiło takie naprężenie, że znowu jest obawa poważnych zawikłań. Wynikło to z rzeczy drobnej, z tego mianowicie, że angielski minister kolonii Chamberlain dał londyńskim dziennikom swój telegram do gubernatora Kaplandu, p. Robinsona, prowadzącego w imieniu Anglii rokowania z rządem transwaalskim. W telegramie powiedziane było, iż położenie „uitlanderów“ (cudzoziemców w Transwaalu, przeważnie Anglików) jest rzeczywiście przykre, bo nie mają oni żadnych praw obywatelskich, są skazani na samowolę boerskich urzędników, a to nietylko drażni tych uitlanderów i zachęca ich do ruchawek, lecz nadto burzy opinię publiczną w Kaplandzie i całej Brytanii, która zaangażowała wielkie pieniądze w przedsiębiorstwach kopalnianych w Johannesburskiem. Utrzymanie powagi angielskiej zniewala Chamberlaina ostrzedz prezydenta Krügera, iż rząd londyński bardzo interesuje się położeniem Anglików, zamieszkałych w Transwaalu. — Otóż taki telegram, gdyby był znany tylko prezydentowi Krügerowi, wywarłby może pożądany skutek, lecz kiedy podały go londyńskie dzienniki, a z nich dostał się on natychmiast do wszystkich gazet w Afryce południowej, efekt jego był najgorszy. Johannesburczycy poczuli, że za nimi stoi Anglia i że w ostateczności będzie ich broniła, więc znowu zaczęli się burzyć i żądać odrazu wszystkich praw obywatelskich, oraz autonomii dla okręgu Johannesburskiego, a znowu rząd boerski uczuł się dotknięty nietylko danem mu ostrzeżeniem, ale jeszcze rozgłoszeniem telegramu, więc zerwał rokowania, cofając dane już przedtem przyrzeczenie, że się zajmie położeniem uitlanderów. Sąsiednia republika Natal, czując, że i jej grozi angielska zaborczość, ofiarowała Transwaalowi sojusz na wszystkie wypadki. Związek ten, skierowany przeciw Anglii, już powstał. Tak oto chełpliwość Chamberlaina zagmatwała już załagodzoną sprawę i teraz trzeba ją znowu mozolnie rozplątywać.

Piszą nam z Wiednia 18 lutego:

Projekt reformy wyborczej nie wywołał w kołach parlamentarnych żadnego zapału. Nie ma ani jednego stronnictwa, któreby z całego serca zgadzało się na tę „reformę“. Jednak jest rzeczą prawdopodobną, że znużony kwestyą, która od 3 lat stoi na porządku dziennym, parlament uchwali projekt rządowy. Koło polskie uchwali go, ponieważ uważa za swój obowiązek popierać gabinet, stworzony przez Polaka, a mający na sobie tak wybitny charakter polski; niemiecka lewica dlatego, aby się nie narazić na zarzut, że się sprzeciwia wszelkiemu rozszerzeniu prawa wyborczego. Konserwatyści niemieccy przystaną na reformę pod warunkiem, że będzie ona oznaczała koniec akcyi, zmierzającej do rozszerzenia prawa wyborczego; przeciwnie stronnictwa skrajne zgodzą się na projekt rządowy w przypuszczeniu, że stanie się on szematem do dalszych „reform“, zwłaszcza do zniesienia dawnych kuryi. Ewentualności tej należałoby zapobiedz, zaznaczając w nowej ustawie, że będzie ona obowiązywała na dłuższy przeciąg czasu, a zmianie ulegnie tylko wskutek uchwały $^2/_3$ części posłów. Bez takiego zastrzeżenia, już za rok lub za dwa znowu stanie na porządku dziennym kwestya dalszej „reformy“ ustaw wyborczych. Zdaje się, że tak zwana szlachta historyczna Czech, która świeżo przynajmniej w teoryi tak dobitnie powróciła do swego programu prawno-politycznego z przed 25 laty, jeżeli nie pojutrze przy „pierwszem“ czytaniu projektu rządowego, to w komisyi poruszy kwestyę przywrócenia sejmom krajowym wybierania delegacyi do Izby poselskiej. Za rządów koalicyi domagał się tego w komisyi ks. Karol Schwarzenberg, ale nie doczekał się poparcia. I teraz — rzecz ciekawa — najgłośniej takiemu żądaniu opieraliby się młodoczesi, którzy marzą tylko o tem, aby w Izbie poselskiej powstała większość radykalna, któraby dokonała drogą parlamentarnego centralizmu zupełnej dekompozycyi Austryi! W każdym razie z tych różnych sprzecznych prądów nurtujących w parlamencie, skorzysta projekt rządowy, tworzący jakiś ściśle określony sposób wyjścia z trudnego położenia.

Wczorajsza dyskusya o nowem ministeryum kolei żelaznych, wywołana wnioskiem p. Kaizla, nie miała żadnej politycznej doniosłości. Kwestya i tak jest całkiem jasna. Koronie przysługuje prawo mianowania ministrów, ile się podoba; na odwrót parlamentowi przysługuje prawo uchwalenia dla tych ministrów lub nieuchwalenia pozycyi budżetowej. Pod względem zasadniczym ta kwestya nie wymagała więc żadnego wyjaśnienia. W praktyce może być rozwiązaną tylko przy uchwalaniu budżetu nowego ministeryum kolei żelaznych. Skoro jednak z góry nie ulega najmniejszej wątpliwości, że ogromna większość parlamentu utworzenie tego nowego ministeryum uważa jako rzecz bardzo pożyteczną, a zatem też uchwali odnośną pozycyę budżetu, nie miało sensu wywoływać doryworczo dyskusyi o tej kwestyi.

Pogłoski, że po uchwaleniu reformy wyborczej Izba poselska będzie rozwiązaną już w czerwcu lub lipcu r. b., nie mają żadnej realnej podstawy. Dotąd nie jest wcale pewną rzeczą, że ugoda pomiędzy dwoma rządami nie przyjdzie do skutku i że więc parlament teraźniejszy nie będzie powołany załatwić ugody finansowej z Węgrami w zimowej sesyi 1896/97. Nie jest też wcale pewną rzeczą, aby reforma wyborcza rzeczywiście na wiosnę r. b. została załatwioną nietylko w Izbie poselskiej, lecz także w Izbie Panów, gdzie z natury rzeczy napotka na silniejszy opór, niż w pierwszej. Rozgłaszane plotki o bliskiem rozwiązaniu Izby mogą tylko niepotrzebnie rozdrażnić koła poselskie.

Korespondencye.

Londyn 12 lutego.

(T.) Wczoraj otwarty parlament rozpoczyna nową kadencyę. Odbyła się już wprawdzie jesienna sesya, zaraz po dokonanych wyborach, ale posłużyła po prostu jako przegrywka do obecnej, która nareszcie odsłonić ma program prawodawczy rządu. Lecz w ciągu ostatnich pięciu miesięcy zmieniła się zupełnie sytuacya polityczna. Wszystkie sprawy wewnętrzne, wszystkie reformy, o które niedawno jeszcze tak zawzięty bój się toczył w dwóch wręcz sobie przeciwnych kierunkach, naraz straciły w opinii kraju swą żywotność, swe znaczenie. Mowa tronowa wylicza cały szereg reform wewnętrznych o wiele dłuższy, aniżeli przypuszczać było można ze strony rządu, który swojego czasu przeciw długim programom prawodawczym się oświadczył, ale prawdą a Bogiem, nikt nie zwraca na nie bliższej uwagi. Wiadomem jest z góry, że rząd przedłoży plan olbrzymiego powiększenia wojennych sił morskich i że operacya ta wymagać będzie nie dziesiątek, ale setek milionów. Stanie się to naturalnie głównym tematem rozpraw i obrad i nada charakterystyczną cechę całej tegorocznej sesyi. W obec takiej sprawy maleją rozmaite drugorzędne reformy, choć mogą mieć dla społeczeństwa znaczenie istotne.

Ale jak dotąd, opinia nie ochłonęła jeszcze z wrażenia, jakie ostatnie zatargi zagraniczne na nią wywarły i zarówno w orędziu Korony, jak w dyskusyi nad adresem one prym trzymają. Nie dziwota, że polityka zagraniczna rządu poddaną była żywej krytyce opozycyi. Lord Rosebery nie szczędził ciosów swemu spadkobiercy i surowo ocenił jego politykę, szczególniej w sprawie zatargu ze Stanami Zjednoczonymi i w sprawie Armenii. Co do tej ostatniej, to upokarzająca rejterada rządu angielskiego żywo jest odczuwana nawet w szeregach gorliwych stronników pierwszego ministra: nie ma, chwilowo przynajmniej, wyjścia z położenia, w które Anglia dobrowolnie zabrnęła.

Podczas dyskusyi budżetowej irlandzcy deputowani zapytali rząd dla czego wcale nie wspomina o nadaniu ich krajowi samorządu, i otrzymali od ministra bez najmniejszych ogródek jasną odpowiedź, że o niczem podobnem nie marzy. Wiedzieliśmy wprawdzie, że rzeczy tak stoją, ale ta stanowcza deklaracya, zaraz na wstępie sesyi, wyjaśnia sytuacyę i ucina skrzydła kaczkom, co się lęgnąć były gotowe!

Szeroka publiczność nie zajmuje się tyle parlamentem jak nagłym i niespodziewanym odjazdem p. Cecyla Rhodesa, wielkorządzcy Afryki Południowej. Opinia oczekiwała skwapliwie wyjaśnienia tajemnic, wśród których żyjemy od dwóch miesięcy i czarna chmura skandalami bezprzykładnymi brzemienna, wisiała nad światem politycznym i finansowym. Tymczasem zimnym podmuchem rozwiał ją p. Chamberlain! Otrzymawszy poufny raport od p. Rhodesa, polecił mu powrócić do swego królestwa bez żadnych odezw do publiczności i bez żadnych zwierzeń niedyskretnym dziennikarzom. Dziennik *Times* uwiadomił miasto i świat, że ekonomiczna działalność pana Rhodesa będzie wielostronną, płodną w miliony, że zdumiewać będzie akcyonaryuszy.

I na tem koniec! Pan Rhodes odjechał i przyjedzie tu — może — w czerwcu, gdy się proces jego spólnika Jamesona toczyć będzie. Aż do tej pory nie będzie można wiedzieć, jaką decyzyę rząd powziął co do wywłaszczenia Towarzystwa południowo-afrykańskiego, albo przedłużenia jego statutów i przywilejów. Jest już teraz widoczne, że moment krytyczny minął i że plutokracya zwycięży raz jeszcze.

Niechęć do Niemców nie przemija. Pokazuje się to na polu ekonomicznem. Czytelnicy wiedzą, że Anglia zalana jest niemieckimi towarami, tak samo jak biura i kantory niemieckimi subjektami, kupcami i kancelistami. Protestowano raz po raz przeciwko temu zalewowi Anglii przez Niemców, ale kończyło się na protestacyach. Obecnie — w świetle nieprzyjaznej postawy niemieckiego rządu i niemieckiej prasy — rozbudziło się w społeczności angielskiej żywe pragnienie położenia końca istniejącemu stanowi rzeczy w dziedzinie handlowej. Anglicy, którzy ubiegają się za otwieraniem nowych targowisk w dalekich zamorskich krajach, oddali swój krajowy, wewnętrzny rynek na łup Niemcom. Stopniowo i coraz więcej niemieckie (tanie i tandetne) wyroby zalewały Anglię; całe gałęzie przemysłu przechodziły w ich ręce, jak zabawki dziecinne, wyroby blaszane, bielizna itd. Z przerażeniem spostrzegli metalurgiści angielscy, że nawet zbyt wyrobów z żelaza i stali z rąk im się wymyka. Wprawdzie przepisy handlowe nakazują, żeby na towarach obcych był napis, świadczący o ich pochodzeniu; ale nie powstrzymywało to publiczności wobec niskich cen od kupowania przedmiotów z napisem: „Wyrób niemiecki.“

Teraz nastąpił gwałtowny zwrot. Gdy reprezentanci fabryk niemieckich przybywają ze swymi wzorami po obstalunki, otrzymują zimną odprawę od kupców, którzy im otwarcie oświadczają, że straciliby swą klientelę przez posiadanie towarów niemieckich. Wywołało to zgiełk pośród przedstawicieli niemieckiego handlu i dzienniki przepełnione są skargami i narzekaniami tych handlarzy na widok zamykającego się przed nimi źródła zarobku. Jeden z nich oblicza, że w ciągu ostatnich sześciu tygodni straty niemieckich domów wynoszą w przybliżeniu cztery do pięciu milionów funtów szterlingów. Gdyby nawet była przesada w tym bilansie, świadczy to o walce na seryo. Izby handlowe we wszystkich wielkich centrach fabrycznych uchwalają wnioski antiniemieckie. Interes osobisty, istotnie trudne stosunki w wielu gałęziach krajowej produkcyi rzemieślniczej i fabrycznej przyczynią się do utrwalenia pa-

---

3)

NEWROZA STEFCI

NOWELA

przez ***Jakóba Normand.***

(Przekład z francuskiego).

(Ciąg dalszy).

Oktawiusz Fleurant, — bo Florély, to był tylko pseudonim, — zaliczał się do ludzi będących w modzie. Nieznany jeszcze przed dwoma laty, szybko zyskał imię w młodej literaturze. Pochodzenie jego było bardzo skromne. Ujrzał światło dzienne na piątem piętrze, na przedmieściu Saint-Martin, ale ukrywał starannie to urodzenie. Pierwszy tom, „Omdlenia“, dał początek sławie niezdrowej i hałaśliwej, którą wkrótce powiększył szereg kronik, więcej niż pieprznych, w pewnym bardzo rozpowszechnionym dzienniku. Pojedynek o kobietę, poprzedzony skandalem, utrwalił ostatecznie jego stanowisko. Stopniowo dostał się do towarzystwa. Książę Otranto ściskał go za rękę. Był przyjmowany wszędzie. Bardzo giętki, bardzo pojętny, bardzo praktyczny, stał się „kimś“. Dawniejszy cygan, wielki pochłaniacz *bock'ów*, zapamiętały bywalec bawaryi estetycznych, przekształcił się w poprawnego, zanadto może poprawnego dżentlmena. Wydawało się, że przez zbyt elegancki strój chce odzyskać czas stracony. Akcent mowy, w którym pozostały intonacye przedmieścia i ręce bardzo starannie utrzymane, ale kształtu gminnego, stanowiły sprzeczność z ubraniem, będącem ostatnim wyrazem szyku, wymyślnemi krawatami i rękawiczkami angielskiemi. Co do duszy, — pozostała ta sama, w gatunku pospolita, bardzo ambitna, bardzo sucha i bezbrzeżnie samolubna.

Stefcia poznała Florély'ego w kilka dni po ukazaniu się „Dreszczów“ na półkach księgarskich. Wspólni znajomi zaprosili ich na obiad do pawilonu Armenonville. Na cześć tego spotkania i chcąc być „na wysokości“, Stefcia kupiła ów tom poezyi. Przeczytała raz i drugi te wiersze dziwaczne, szczególnie rymowane, w których najsubtelniejsze wrażenia rozbierane były z niesłychaną drobiazgowością, najcieleśniejsze rozkosze ukrywały się pod osłoną mistycyzmu zarówno zręcznego jak zamglonego. Niewiele z tego zrozumiała, ale wszak rzeczy niezromiałe są w modzie, nieprawda?

Od początku obiadu Florély zajął uwagę młodej kobiety. Spojrzenia Stefci zatrzymywały się z upodobaniem na tej twarzy bladej, całkiem wygolonej, o delikatnych rysach, o jasno piwnych oczach, głęboko osadzonych. Zauważyła kształtność nosa, obfitość ciemnych włosów, starannie rozdzielonych, niezwykle eleganckie ubranie, naśladujące modę z roku 1830 w najczystszym stylu. Instynktem kobiety i Paryżanki odczuła, że jeżeli Florély był „kimś“, nie był bynajmniej „człowiekiem światowym“, co wszakże dodawało mu tylko w jej oczach uroku. Poeta nie był bynajmniej świetnym *causeur'em*. Gdy jednak rozmowa przeskoczyła nagle z bicyklety na malarstwo, odtajał i mówił o Burne Jonesie, Botticellim i *quatrocentistach* w słowach zarówno entuzyastycznych, jak niejasnych. *Quatrocentiści?* Hm! Stefcia zapytywała siebie, co też to mogli być za jedni ci ludzie? Szkoła, gdzie było wszystkich razem czterystu, nieprawda? Mniejsza o to! Przytakiwała: „Ma się rozumieć.. Ma pan zupełną słuszność!... Całkiem jak ja!...“ kładąc nacisk potwierdzającem skinieniem jasnej główki.

Po skończonym obiedzie, gdy zapalono papierosy a rozmowa, ogólna dotąd, rozproszyła się, jakże się pomnożyły jeszcze te oznaki zgody! Stefcia napomknęła o swoich cierpieniach nerwowych, a Florély wnet zaczął się rozwodzić nad swojemi: bo i on, nieborak, jak łatwo się domyślić, był neurastenikiem.

Podobnie, jak u Stefci, i u niego nie było to nic określonego, ale ogólne przygnębienie, niezwykły stan duszy. Niekiedy, w głowie uczucie pustki, — a w nogach ociężałość, och! ociężałość straszna!... W dołku, również, od czasu do czasu gniecenie.... A przytem, sen niespokojny, dręcząca bezsenność.... Chcąc być zupełnie szczerym, powinien był dodać, że ta fala cierpień zlewała się na niego głównie, gdy dochodziła go wieść o powodzeniu kolegi. W tym wypadku ataki były nagłe i straszne; tem okropniejsze, że nie chciał się sam przed sobą przyznawać do tej przyczyny swojej choroby.

I w ten sposób intonował wespół ze Stefcią duet nad smutkiem życia, niepokojami fizyologicznemi i psychologicznemi, obawami, rozpaczami, nad nieskończonym orszakiem ludzkich niedoli...

Wieczorem, jadąc ze zrównoważonym Chamblet'em w wiktoryi przez Lasek, rojący się od powozów, Stefcia marzyła. Widziała w duchu młodego poetę, bladą twarz jego, ożywioną odblaskiem światła, ręce wątłe, prawie równie białe, jak obrus; słyszała jeszcze, wśród muzyki walców cygańskich, głos jego stłumiony, ale dźwięczny, mówiący rzeczy takie prawdziwe... Ach! jest ktoś, co ją rozumie!.... znalazła się nareszcie siostrzana dusza!

Od obiadu w Armenonville, Stefcia nie miała sposobności widzieć Florély'ego, ale często o nim myślała. Stopniowo, z tą szybkością, z jaką kobiety romantyczne wytwarzają osobę urojoną, urobiła sobie z niego ideał. To też, gdy pewnego ranka spotkała się z nim oko w oko na ulicy w Pontresinie, doznała istotnego wzruszenia.

Młody poeta zachował o niej zaledwie niejasne wspomnienie. Poznając ją, doświadczył tylko miłego wrażenia na widok ładnej twarzy kobiecej, widzianej kiedyś w Paryżu, a przedstawiającej się w nowych ramach.

— Pani Chamblet! tutaj! Niewątpliwie dla tych biednych nerwów?

— Tak, — przeprowadzam kuracyę klimatyczną.

— Ja także. Tylko co przyjechałem.

— Zobaczy pan, to życie na powietrzu, cudowne!... Mój lekarz to człowiek genialny.

Rozmowa rozpoczęła się od tego, na czem ją przerwali w pawilonie Armenonville. Opowiadali sobie o swojej chorobie, rozbierali cierpienia, coraz podobniejsze! Och! ileż mieli punktów styczności, ile! Stefcia istotnie miała się lepiej i zrazu przyznawała się do tego szczerze; ale nie uchodzić już za nerwową ani trochę... czy to podobna? Gdy oznajmiła o poprawie swego zdrowia, zdawało jej się, że we wzroku Florély'ego dostrzegła zdziwienie, niemal naganę... Nie być już nerwową! ona, Stefcia... Nie, to niemożliwe! I stopniowo, po dziesięciu minutach rozmowy, zapewniała jego i przekonała siebie w dobrej wierze, iż kuracya klimatyczna nic jej nie pomogła — ale to nic a nic. Była równie chorą jak w dniu przyjazdu i nie wyzdrowieje nigdy. Co do jej doktora, nie poznał się tak samo na chorobie jak tamci, — to osioł, najzwyczajniejszy osioł. Zresztą medycyna wewnętrzna nie robi żadnych postępów, gdy tymczasem chirurgia!...

Florély wtórował Stefci. Tonął znów w smutku. Pewien kolega, nieznany dotąd, pozwolił sobie wydać tom: „Muśnięcia“, który był w gruncie rzeczy płaskiem naśladownictwem „Dreszczów“, ale miał prawie równe powodzenie. Florély dostał z tego powodu ostrego ataku i był jeszcze całkiem obolały.

Między temi dwiema ofiarami losu powstała szybko zażyłość, której sprzyjało wspólne życie. Mieszkając w jednym hotelu, Stefcia i Florély widywali się nieustannie. W Pontresinie, przepełnionej Anglikami i Niemcami, brak było prawie zupełnie żywiołu francuskiego, — Francuzi wolą Sanct-Moritz, miejscowość bardziej elegancką i światową. Ztąd mało znajomych, swoboda zupełna. Odbyli jeszcze raz we dwoje wycieczki, które Stefcia robiła już sama; przedsiębrali nowe. Byli razem od rana, razem wieczorem, przy *table d'hôte*, razem po obiedzie, pod werandą hotelu, razem patrzyli na gwiazdy... Słowem, po kilku dniach, te dwie siostrzane dusze stały się nierozdzielne i, — rozwiązanie przewidziane, — Stefcia była po uszy zadurzona we Florélym.

Jakież niebezpieczeństwo groziłoby biednemu Chamblet'owi, gdyby ta namiętność była wzajemną! Na szczęście dla niego autor „Dreszczów“ drżał jedynie w wierszach. A potem, nieustająca troska o to nędzne zdrowie sprawiała, że był bardzo oszczędny w sprawie miłości. Przyjechał, by wypocząć, oddychać czystem powietrzem, pić mleko, pędzić życie wegetacyjne. Widział tedy w Stefci tylko nader miłą towarzyszkę podróży; kobietkę bardzo zabawną, która widocznie uwielbiała go we wszystkiem, zarówno za jego poezye, jak za krój jego garniturów. Zresztą, czyż to nie prawdziwie rzadkie szczęście znaleźć na tej wysokości rozrywkę równie niespodziewaną, oryginalny flircik? Pozwalał się uwielbiać z uprzejmością, a nawet z przyjemnością. Ale kochać, albo poprostu pożądać tylko, nie wpadło mu nawet do głowy.

(Ciąg dalszy nastąpi).

tryotycznego zapału. Jeżeli fabrykacya angielska da się przez tę rywalizacyę popchnąć do ulepszonych metod wytwórczości, ogół zyska na tej krucyacie.

Ale jestto dopiero jedna strona kwestyi. Druga tyczy się inwazyi osobistej Niemców, którzy olśnieni bogactwem Anglii ciągną tu głodnemi chmarami, i osiedlając się tłumnie, odbierają zarobek krajowcom. W ostatnim numerze *Fortnightly Review* p. Artur Shadwell podaje niektóre statystyczne cyfry tyczące się zalewu niemieckiego. I tak w roku 1891 było w Londynie 3769 służących, 2489 krawców, 2340 piekarzy, 1981 nauczycieli 1909 rzeźników i 961 perukarzy niemieckich. Są niektóre gałęzie, jak kuśnierstwo, gdzie wszyscy robotnicy bez wyjątku są Niemcami.

A statystyka ta jest, jak się samo przez się rozumie, niedokładna i w przybliżeniu tylko. Kolonia niemiecka w samym Londynie grupuje się przeważnie w dzielnicy Islingtonu i liczyć ma 60.000 osób. Wiadomo że w City wszystkie kantory i biura przepełnione są Niemcami. Znając kilka języków, kontentując się małym zarobkiem, zgadzając się nawet na bezpłatną pracę przez rok lub dwa, wciskają się oni do firm pierwszo i drugorzędnych a gdy się tam usiądą, sprowadzają jednych po drugich swych rodaków. Młodzież angielska ma zamknięte przed sobą drogi zarobkowania. Tysiące można by przytoczyć przykładów owych niemieckich przybyszów, którzy poznawszy bieg przedsiębiorstwa i wszelkie jego działalności, posiadając listę klientów, opuszczają firmę i zakładają dom na własną rękę. Ale dotąd angielskie firmy, wiedząc, że Niemiec pracuje jak wół i zadowalnia się stosunkowo małą płacą, nie kładły tamy tej inwazyi niemieckiej. Wyjątkowe były domy, które Niemców przyjmować nie chciały. Ale w świetle obecnych stosunków i pod tym względem zapowiada się przewrót. Jak się samo przez się rozumie, będzie on gwałtownym i natychmiastowym. Naczelnicy domów ograniczają się do niepowierzania w przyszłości niemieckim subjektom i urzędników. Zawiązało się stowarzyszenie z tą tendencyą ochrony pracy zawodowej. W niemieckim klubie handlowym, do którego należy kilkaset młodych urzędników, odbyło się przed kilku dniami zebranie poufne, na którem dyrekcya oznajmiła, iż doszło do jej wiadomości, że w ciągu ostatniego miesiąca 800 podań niemieckich kandydatów na posady w domach kupieckich londyńskich odrzucono bez żadnego innego powodu, jak dlatego, że to byli Niemcy. Panowie ci, którzy jako prezydenci klubu niemieckiego wprowadzali tutaj tłumnie swych ziomków, dali rady członkom klubu, aby każdy w sferze osobistej starał się doradzać Niemcom, żeby tu nie przybywali dla umieszczenia się w domach kupieckich, bo niechybnie spotka ich rozczarowanie. Radzą przeczekać burzę i mają nadzieję, że Anglicy w niedalekiej przyszłości dadzą się udobruchać.

Rzym 11 lutego.

Jak zwykle co roku, odbyło się w piątek w kaplicy sykstyńskiej nabożeństwo żałobne za duszę Piusa IX-go, który — jak wiadomo — zmarł w kilka tygodni po królu Wiktorze Emanuelu. W trybunie, przeznaczonej dla dostojnych gości, zasiadał ks. Henryk pruski razem z żoną. Ks. Henryk od roku 1888 nie był w Watykanie, t. j. od czasu, kiedy tu przyjechał z bratem swoim, cesarzem Wilhelmem. W Watykanie pamiętają jeszcze dotąd przykre zajście z czasu wizyty. Gdy cesarz Wilhelm rozmawiał sam na sam z Papieżem Leonem XIII, hr. Herbert Bismark oczekujący w jednym z przyległych obok pokojów, wezwał bardzo natarczywie „maestra di camera", t. j. monsignora, służącego przy Papieżu, aby wprowadził ks. Henryka do sali, gdzie się znajduje Papież. Hr. Bismark uzasadniał swe żądanie tem, że książę pruski nie może czekać w antykamerze. Oczywiście w żaden ten sposób, iż ks. Bismark starał się przerwać rozmowę Ojca świętego z cesarzem i postąpił wcale bez uzasadnienia, nawet gburowato. Być może, iż po upływie wieków ks. Henryk przyjęty zostanie na audyencyi u Papieża.

Ceremonia żałobna w kaplicy sykstyńskiej została zakłócona przez przykry wypadek. Kardynał Mertel stracił przytomność w chwili, gdy stosownie do swoich funkcyi pomagał Papieżowi nałożyć kapę. Kardynał Mertel ma już 90 lat, a oddawna cierpi na astmę. Skutkiem osłabienia wyprowadzono kardynała z kaplicy, aby go orzeźwić. Mertel jest dziekanem ciała kardynalskiego, choć ze wszystkich kardynałów nie jest księdzem, ale tylko dyakonem.

Zdrowie Leona XIII go nie pozostawia nic do życzenia. Głos jeszcze jest silny, choć ręka drży; podczas mszy, że tak się wyrażę, razem każde słowo liturgii.

Stało się to, czego się obawiali rzymianie: król abisyński Menelik, i jego zapalczywa połowica, królowa Taitu, zadali cios karnawałowi rzymskiemu. Ujął humor, komitet zabaw zawiesił czynności, jest trochę masek po ulicach, ale nie ma już mowy o tryumfalnych, humorystycznych wozach, o wyścigach „barberi" i t. p. Wszystko to pierzchło wobec wypadków afrykańskich. Ukazują się tu i owdzie maski, nawet z gmachu kilka tych pulcinellów, z czarnemi maskami na twarzy, nie stanowią jeszcze karnawału.

Na placu Colonna pojawia się, jak zwykle o tym czasie, na wózku cudowny doktor, ubrany w fantastyczny jakiś kostium z XVIII wieku razem z niezbędną Pulcinellą, przemawia do pospólstwa, opowiada koncepty, ale nie potrafi wlać życia w karnawał, bo karnawał potrzebuje pieśni, zapału, wesołości. Nie dają jej także maskarady w teatrach, choć są liczne uczęszczane, jako że i zapusty będą przez parodyą owych huczych, hałaśliwych zapust rzymskich, które miały być wskrzeszone w roku bieżącym.

Karnawał paryski.

Paryż w lutym.

Szanowny Redaktorze!

Nie mogłeś mnie wprawić w większy kłopot, jak żądając odemnie opisu karnawału w Paryżu.

List twój spadł na mnie, jak piorun.

Karnawał?

A prawda — śnieg za oknem, ogień na kominku, więc to zima! styczeń... karnawał!

I w ślad za tym jednym wyrazem przypomina się cały szereg dni podobnie mroźnych, w czasie których wieczorami we Lwowie, Krakowie, Warszawie — brzęczą fortepiany pod rękami oblanych potem biedaków, dopalają się świece w kandelabrach, drą się treny pod obcasami butów, zawiązują się małżeństwa, flirtują ukarminowane usta pod skrzydłami wachlarzy i migają, jak czarne motyle, opatrzone monogramem szapoklaki.

Szwaczki do dnia białego kręcą się koło drewnianych manekinów, wynajęci lokaje obcierają nosy w serwetki i kradną srebro, kobiety konają z bólu w ściśniętych gorsetach, mężczyźni zastawiają dyplomy doktorskie, aby kupić sobie czarne jedwabne skarpetki.

I w ślad za tem piekło domowe rośnie.

Zwyczajne „żurfiksy" zamieniają się w wieczory tańcujące, roznoszona herbatka jest zastąpiona „kolacyą" siedzącą w ciasnej przestrzeni jednej sali, z której wyniesiono wszystko i zwalono kredens do dziecięcego pokoju.

Gospodyni zgorączkowana, zmęczona uśmiechami do gości, gospodarz wzrusza ramionami po kątach, dzieci płaczą zamknięte w swym pokoju pomiędzy poskładanemi łóżkami całej rodziny, najstarsza panna w tradycyonalnej „kremowej" sukience kokietuje.. a tymczasem fortepian brzęczy.. brzęczy..

Wszystko to widzę w tem jednem małem słówku, które mi przyszło z kraju.

Karnawał!

Wielki to niezawodnie czas we Lwowie, wydawania pieniędzy i polowania na „posażne jedynaczki", czas wynajmowania karet na „odwiezienie i przywiezienie za 5 zł.", czas na spanie w dzień, a wykręcanie się po sali noc całą, czas wreszcie kłamstwa, obłudy, szyku, plotek, ruiny, katarów, romansów, chrypek, pudrowania i pieczenia włosów, łez, zawodów, przegrywania sukien, grania w wista, scen małżeńskich, kokieteryi mężczyzn, malowania oczu, nie płacenia krawców, zazdrości i zaciągania długów. Wy bowiem tam we Lwowie macie wiele bali: demokratycznych, technicznych, prawniczych, medycznych, literackich, słowem taką moc zabaw, że trudno je wyliczyć.

Karnawał!

Tymczasem tu nad Sekwaną, prawie nie ma karnawału.

Tu fortepiany nie brzęczą, chłopcy zsiniali z zimna, piramid z ciastek nie noszą ślizgając się po rynsztokach, tu prawie nie ma różnicy z inną porą roku i nikt o karnawale nie wspomina, nie mówi.

Cicho, spokojnie, siedzi „burżuazya" w swoich klatkach, obitych papierem lub kretonem, jak ślimaki w skorupie zamknięte, tak jakby nie miała córek i małżeństwa nie kontraktują się tu wśród sal balowych.

Panienka „na wydaniu" nie przedstawia się swemu przyszłemu w obnażonym staniku przed obłokami gazu, ale siedzi cicho w swym dziewiczym pokoju, zapięta szczelnie pod szyję w szarej, angielskiej sukience i czeka aż matka objawi jej te słowa:

— Dziś na obiedzie mamy gości Będzie przyjaciel twego ojca z młodym człowiekiem. Upoważniam cię, abyś była dla niego uprzejmą.

Dziewczyna spuszcza oczy, zamienia szarą sukienkę na popielatą i od tej chwili zaczyna „marzyć o człowieku, dla którego pozwolono jej być uprzejmą".

Młody człowiek jest już *ami* w domu, może *faire la cour* pannie i rzecz skończona.

Małżeństwo postanowione; panienka, nie mając porównań, nie będąc otoczoną i rozgorączkowaną fałszywymi hołdami pospolitych salonowych kokietów, przywiązuje się do człowieka, którego widzi codziennie nie pod jasną i olśniewającą światłością gazu, lecz przy blasku domowego ogniska i w zwykłem pospolitem otoczeniu.

Ma to bez zaprzeczenia doskonałe swoje strony.

Młode dziewczęta, wprowadzone na salę publicznego balu, upojone muzyką, strojem, patrzą na wszystko przez różowe okulary. Zgorączkowana i podniecona wyobraźnia galopuje i często młoda dziewczyna uczuwa szalone zajęcie się człowiekiem, który nosi dobrze garnitur frakowy i dobrze trzyma ów trzyczyny szapoklak. Jestto zupełnie „kobiece"; nerwowe i nawet najrozsądniejsze i mające pańskie dojrzałości panienki przechodzą te chwile.

Jeżeli wtedy ów „pan", noszący z wdzięcznością w tej chwili i potrafi oplątać zręcznie siatką przytomną muszkę, jeżeli w dodatku jeszcze jest posażna, jakże łatwo jej wśród figur kadryla, w namiętnej pozie walca, o trzach kotylionu przyrzeczenie, związać się bez wiedzy i woli rodziców, bez bliższych danych o człowieku, który szepce nad obnażoną szyją dziewczyny.

Dokoła tak widno, tak jasno! muzyka rozmarza! Bukiet z gorsu pachnie, jak w maju; mężczyzna dobrze mówi z niższych i cieplejszych tonów głosu i jest tak ładny w lekko zafryzowanych włosach!

Dzięki nawet przytomność, tu i ówdzie szept: „Jaka dobrana para!" i mówi: „Tak", sądząc, że całe życie będzie pachniał mu płynął walc, i „on" będzie mówił i trefił lekko włosy.

Tymczasem słowo się rzekło, i

„Nim słońce znów zaświta,
La commedia è finita."

Zdaje mi się, że to są główne względy, dla których tutejsza „burżuazya" nie prowadzi domów otwartych i trzyma dziewczęta zdaleka od wirów balowych.

Dans le grand monde kotylionują i tańczą trochę i tam „panienki" pojawiają się przy boku mam do tego.

Lecz ta arystokracya nie stanowi teraz Paryża, bo arystokracya jest pod tym względem kosmopolityczną i zachowuje zawsze jedne i te same cechy, czy to nad Sekwaną, czy nad Dunajem, czy nad Pełtwią.

Prawdziwy rdzeń towarzystwa paryzkiego, to jest owa „burżuazya" większa, czy mniejsza, a właśnie, która nie oddaje się w karnawale rozbawionej krętaninie i tańcom, siedzi spokojnie w swych klatkach, nie będąc bynajmniej zaniepokojoną zbliżaniem się popielca.

Panny spokojne o swój los, czekają chwili, w której „przyjaciel ojca" przedstawi przyszłego męża, którego wybór przedyskutowano przed tem w gronie familijnem, mężatki myślą wówczas, jak najlepiej zaprowadzić oszczędności i dobrze przyjąć na obiedzie kilku przyjaciół, czy miło spędzić wieczór pośród nielicznego grona zaufanych.

I szczególny urok mają właśnie te obiady francuskie, spokojne, ciche, a szczerze wesołe w niewielkich salkach jadalnych, obitych kretonem, przed stołem ubranym fijołkami i pękami róż gorących zmieszanych z paprocią. W rzniętych, solidnych kieliszkach żółci się Chablis, na płaskich półmiskach leżą sole całe rudo-złote i ubrane plastrami cytryn, dokoła jakieś ciepło, spokój domowy, gwar nie denerwujący, atmosfera dobrobytu stałego, bez wysiłków, bez sztucznych i gorączkowych a nieraz bohaterskich starań.

Zaproszeni czują, że wszystko to, co im podają, całe „menu" jest, jak owa grobla według stawu, rozmowa płynie swobodna, nieskrępowana, gdyż goście są dobrze znani gospodarstwu, a nie zwleczeni przez trzecich tylko dla obtańcowania siedzących pod ścianami danserek. Po obiedzie przybywa jeszcze pewna liczba zaproszonych dla wypicia filiżanki herbaty i po północy rozchodzą się wszyscy, nie tracąc nocy na bezmyślnej krętaninie, na rujnujących wydatkach i wyczerpującej zdrowie bezsenności. Według mnie, ten rodzaj przyjmowania swych gości jest o wiele milszy od wszelkich „wieczorów", stanowiących prawdziwą manię naszej przeciętnej burżuazyi. Cały wieczór spędzony w wybranem kółku mniej lub więcej licznem, przy dobrym obiedzie i w niepodniecającej atmosferze balowej działa poprostu na umysł w orzeźwiający sposób. Wszelkie wysilone bale prywatne nie zastąpią nigdy tej spokojnej, poufnej, przyjacielskiej prawdziwie rozkoszy. Francuzi rozumieją to dobrze.

Zrzuciwszy pęta konwenansów, urządzają swe życie według własnych pojęć o komforcie i szczęściu. Zamiast dręczyć się, przyjmując kilkadziesiąt osób w ciasnem i przewróconem na tę uroczystość do gruntu mieszkanku, zamiast raczyć koszami wina, sprowadzonych z „miasta" Fikalskich i Ciuciunkiewiczów, burżuazya paryzka rozsyła kilkanaście zaproszeń, starannie się namyślając nad wyborem osób, które posadzi za swym stołem i o oznaczonej godzinie spokojna, uśmiechnięta, w saloniku, w którym róże z koszyków śmieją się w blasku kominkowego ognia, wita swych przyjaciół, będąc pewna z góry, że nie zabraknie miejsca, serwisu, służby i po balu—pieniędzy w kieszeni.

Być może, iż szczupłość mieszkań paryzkich zmusza poniekąd tutejszych mieszkańców do tego rodzaju życia, lecz znam całe rodziny, zamieszkujące obszerne apartamenta, a mimo to spędzające karnawał w zupełnej ciszy, przerywanej tylko obiadami, wydanemi nie z musu i dla konwenansu, lecz dla własnej przyjemności i pogawędzenia z przyjaciółmi. Tak zwane „cercles" wydają tu nieliczne bale i na te nawet i dziewczęta się zjawiają, lecz bale te mają charakter czysto prywatny, zamknięty i familijny.

Literatura

Sewer „Zyzma". Powieść współczesna; Petersburg. 1896. — Nakładem księgarni Grendyszyńskiego.

Kwestyi żydowskiej poświęcił autor obszerną tę powieść, która drukowana była w *Ateneum*, a teraz wyszła świeżo w osobnem wydaniu, nakładem K. Grendyszyńskiego w Petersburgu.

Akcyę „Zyzmy", rozpoczynającą się w Wiedniu na tle tamtejszych stosunków giełdowych, po pierwszych paru rozdziałach przenosi autor do Lwowa z przed lat kilkunastu.

Wśród wiru dążeń ogólniejszych i osobistych zabiegów przedstawicieli różnych stronnictw inteligencyi żydowskiej zjawia się tam niespodziewanie młody człowiek, nie pozbawiony sprytu i dostępny podszeptom szlachetniejszych popędów, ale nie mający ani wykształcenia, ani wyrobienia, odpowiedniego do stanowiska, jakie mu los kazał zająć. Młodzieńcem tym jest żyd, Zyzma.

Pierwsze lata Zyzmy, spędzone wśród najcięższej walki o byt na sprzedawaniu kości, naprawianiu chłopskich kożuchów, dźwiganiu ciężarów i faktorowaniu na jarmarkach przy kupnie koni, przedstawił autor w noweli „Nad brzegiem Rudawy". W powieści, zatytułowanej imieniem bohatera, spotykamy się z Zyzmą na szerszej arenie giełdy wiedeńskiej, wśród gorączkowej pogoni za upragnionem bogactwem. Po długich latach oczekiwania i upokorzeń, dopina wreszcie celu. Szczęśliwy zbieg okoliczności, trafem niemal zdobyta tajemnica giełdowa, rzuca w jego ręce wygranę w wysokości stu kilkudziesięciu tysięcy guldenów, a niespodziewany ten uśmiech losu wywiera naturalnie stanowczy wpływ na dalsze życie Zyzmy i odrazu z pogardzanego lub nieznanego czyni go pożądanym, głośnym, niemal wielkim...

Nawet wszechmocny redaktor *Neue Freie Presse* z góry traktujący dotychczas bezpłatnego współpracownika w dziale sprawozdań giełdowych pod wpływem wiadomości o wygranej, której wysokość usłużne wieści zdążyły prędko podwoić, zajął się żywo Zyzmą i, wtajemniczywszy go w obszernej rozmowie w zadania i cele, jakie według niego stawiać sobie powinien każdy członek „najstarszej, a zatem najrozumniejszej rasy na świecie, rasy żydowskiej", ofiarował mu ważne miejsce korespondenta do *Nowej Pressy* ze Lwowa.

W rozmowie Zyzmy z kierownikiem wiedeńskiego organu, za długiej może i miejscami trochę sztucznej, redaktor ze stanowiska swojego tłómaczy nowemu korespondentowi zasady, któremi rządzić się powinien, i błyska mu przed oczyma ideą panowania rasy żydowskiej nad światem, której Zyzma w naiwności swojej zrozumieć z początku nie może

— Zyzma, naiwność twoja zaczyna mnie irytować, — woła w zapale dysputy kierownik *Neue Freie Presse.* — Nie wiesz, co jest naszą, a więc i twoją ideą, a jednak siłą dziedziczności poświęcasz się dla niej. O Zyzma, jakiś ty komiczny, dziecko jesteś. Co jest naszą ideą? Panowanie nad światem. Pragnienie to, a raczej prawo, jest we krwi twojej, w zwojach twojego mózgu, w postępkach i myślach twoich, a ty jeszcze tego nie wiesz, nie przeczuwasz, chociaż ciężko na rzecz jego pracujesz... Wytrwaliśmy wszelkie prześladowania, my, naród najpierwiej i najwyżej ucywilizowany i dlatego mordowany przez barbarzyńców, aby nareszcie, gdy cywilizacya głupich i podłych ras do tyla dojrzała, że nam zapewniła równość i wolność, logiką faktów objąć nad nimi panowanie" (str. 95).

Wskazawszy w dalszym ciągu środki, któremi posługiwać się należy w walce, w imię tej idei, w taki sposób określa redaktor zadanie nowego korespondenta:

„Dużo znajdziesz we Lwowie naszych stronników, otwartych i zamaskowanych. Przyjmą cię wszyscy z otwartemi rękami Potrzebnyś nam, bo i wśród naszego obozu, zaczynają nurtować nieprzychylne nam prądy. Ogólna sytuacya zaczyna się chwiać, lewicy wydarto władzę; Polacy dobijają się jej i rządzą, wprawdzie nieszkodliwie, bo są większymi Austryakami, aniżeli sam Cesarz, i tak samo oskubują Galicyę, jak to robili Niemcy; ale zawsze trzeba krzyczeć gwałtu, wołać, że nas mordują, drą ze skóry, a swoje robić" (str. 103).

Sofistyczne dowodzenia zaimponowały z początku niedoświadczonemu młodzikowi, jakim był Zyzma, i chwilowo przynajmniej wytworzyły w jego umyśle chaos prawdziwy. Wychowany w wiosce galicyjskiej, nie czuł on żadnej nienawiści rasowej do ludzi, których za współziomków i braci niemal uważać przywykł. W sercu nosił jeszcze niezatarte wspomnienia pierwszej miłości, którą pokochał przed laty prostą wiejską dziewczynę. W Wiedniu już, po wygraniu owej sumy na giełdzie pod wpływem szlachetniejszych instynktów, zajął się serdecznie losem nieszczęśliwej hrabianki Brańskiej, opuszczonej z powodu mezaliansu przez rodzinę najbliższą i zmuszonej po śmierci męża tułać się z głodnym synkiem po przedmieściach wiedeńskich, bez żadnych środków do życia. A jednak mimo wszystko jechał teraz do Lwowa w charakterze korespondenta gazety wiedeńskiej z zamiarem rzucenia w niej tendencyjnych oszczerstw na ludzi, którzy nie wyrządzili mu żadnej krzywdy.

Lecz i po przyjeździe do Lwowa nie odrazu zoryentował się Zyzma w położeniu, nie odrazu cofnął się z fałszywej drogi, na którą pchnął go redaktor *Neue freie Presse.* Dobrze odmalował autor stopniową przemianę, która zaszła w duszy jego bohatera, pod wpływem ukrytych w niej lepszych instynktów i wspomnień przeszłości z jednej strony, a energicznych kroków, poczynionych przez inteligentną młodzież żydowską z drugiej, może zresztą nie bez współudziału płomiennych oczu pięknej Żanety, gorącej zwolenniczki Słowackiego.

Po przyjeździe do Lwowa, młody korespondent, zajmujący wspaniały apartament, zajeżdżający własnym ekwipażem przed mieszkania wybitniejszych członków inteligencyi żydowskiej, powożący, jak fiaker wiedeński, trzymający się na koniu jak lord angielski i posądzany w dodatku o romans z piękną hrabianką Brańską, która, ku zgorszeniu arystokracyi miejscowej, objęła w jego sklepie miejsce kasyerki, zwrócił na siebie odrazu uwagę powszechną. Około jego osoby zawrzała przedewszystkiem walka starych z młodymi. Starzy, bądź otwarci zwolennicy kultury niemieckiej, jak stary Topaz, rozumujący, że dziś być Niemcem, to znaczy to samo, co być silnym i uważający za idyotyzm bawienie się wobec tego w Polaków, bądź mniej lub więcej sprytni działacze, w rodzaju adwokatów krajowych Bluma i Fuchsa, noszących płaszcz na dwóch ramionach, myślących przedewszystkiem o sobie samych i pragnących, bądź co bądź, wyłowić dla siebie w mętnej wodzie spraw ogólnych jakąś tłustą rybę, zaczęli zbliżać się do Zyzmy, w nadziei, że działalność jego zużytkować potrafią dla celów własnych.

Młodzi, przeważnie studenci uniwersytetu, zorganizowani w związek „Zwiastunów pojednania" i marzący o umoralnieniu swych współbraci, wystąpili z początku z pogróżkami. Młody Józef Topaz, wysłany w ich imieniu do Zyzmy, nie bawił się w dyplomacyę. Gorący wybuch młodzieńca, w którym ten wypowiedział bez ogródek słowa potępienia dla działalności *Nowej Pressy*, nie przestraszył Zyzmy, wywarł na nim jednak wrażenie głębokie.

„Czego my chcemy" — wołał rozentuzyazmowany student. — „Ponieważ jesteśmy Polakami, chcemy nimi być z kości i krwi, z myśli i pragnień Chcemy pracować dla cywilizacyi polskiej, dla jej przyszłości. Nasze zdolności, talenta, pracę — jej poświęcić. Byłoby to nikczemnie dlatego, że dziś ten naród jest nieszczęśliwy, uciekać od niego, plwać mu w twarz, skrępowanego kopać nogą! I nietylko, że sami chcemy pracować, lecz i naszych braci wydobyć z upodlenia nicości kosmopolitycznej. Tego my chcemy, i dlatego zorganizowaliśmy się, aby wspólnie działać" (170 str.).

Zyzma, oburzony w pierwszej chwili za napaść niespodziewaną, nie wszystko może rozumiejący ze słów młodego człowieka, w gruncie rzeczy przyznawał mu słuszność. Reszta była już tylko kwestyą czasu. Już na zebraniu u Topazów widzimy w nim zmianę niezwykłą. Po poznaniu się z siostrą Natana, kupuje wszystkie dzieła Mickiewicza i Słowackiego i wczytywać się w nie zaczyna, posyła pięknej Żanecie pięćset guldenów na założenie pisma, które miało być organem „Zwiastunów pojednania". Wpływ młodego Józefa, Daniela, Natana i jego siostry zrobiły resztę. Zyzma przechylił się zupełnie na stronę swych młodych współbraci i celom ich zaczął służyć szczerze.

Nie zatrzymujemy się nad pojedynczemi ustępami tej powieści, bogatej w wiele interesujących epizodów. Chcieliśmy tylko naszkicować jak najogólniej jej wątek i przewodnią myśl autora. Wypowiada on ją parokrotnie przez usta przedstawicieli inteligentnej młodzieży żydowskiej i jej bezimiennego „mistrza".

„Żydzi" — mówi n. p. poważny Daniel wśród gwaru rozprawy koleżeńskiej, — „muszą mieć ojczyznę dla swego umoralnienia, — inaczej barbarzyństwo będzie ich tępić, lub wyrabiający się w ludzkości altruizm zaprzeczy im racyi bytu w rodzinie ludów". (Str. 226).

„Mistrz" zaś stronnictwa młodych w taki sposób odzywa się do Zyzmy o rasie semickiej:

„Chcesz pan mówić o swej rasie, semickiej rasie. Prawda, ma ona wielkie przymioty, wytrwałość, oszczędność, zmysł praktycznego sądu o rzeczach i tem walczy. Czasem namiętność robi z nich bohaterów lub męczenników. Ale rasa ta jest zdemoralizowana niewolą dwóch tysięcy lat i brakiem ojczyzny, może zginąć i musi zginąć, jeżeli się nie odrodzi. Lecz do pracy niech przystępują czyści, aby i sprawa nie stała się środkiem wyzyskiwań". (Str. 390).

Dziś są to już naturalnie kwestye nie nowe, omawiano je na różny sposób niejednokrotnie. Nie odbiera to jednak występującym w „Zyzmie" postaciom wartości artystycznej i fabuły samej nie czyni mniej zajmującą.

Przedewszystkiem postać głównego bohatera od początku do końca przeprowadzona z konsekwencyą i wycieniowana bez zarzutu. Autor nie wyidealizował jej zanadto, nie zrobił z niej drugiego Meira Ezofowicza, którego zresztą przypominają pewne szczegóły, lecz pokazawszy czytelnikowi całą duszę swojego bohatera, nie ukrywając ciemnych jej stron i nie świecąc zanadto jasnemi, uczynił Zyzmę postacią prawdopodobną i w dodatku sympatyczną. Przy końcu zwłaszcza, gdy na bohatera powieści, wyprowadzonego haniebnie w pole przez zręcznego Bluma, spadać zaczynają ciosy w postaci przekleństwa rabinów i ciężkiej rany, którą mu zadała ręka fanatyka, czytelników ogarnia współczucie i szczery niepokój o Zyzmę. Z prawdziwą też przyjemnością widzimy go wreszcie dopływającym do szczęśliwego portu, razem z kochającą i ukochaną Żanetą, którą naturalnie przeznaczył mu autor za żonę.

Z postaci drugorzędnych zasługują przedewszystkiem na uwagę doskonale nakreślone sylwetki dwóch kobiet: naiwnej, serdecznej i dobrej nawskroś Sali i namiętnej, egzaltowanej Żanety. Dwie te postacie dopełniają się wzajemnie. Sala, którą ojciec jej nazwał w rozmowie z Zyzmą, ogniem i rozpalonem żelazem, jest w gruncie rzeczy naturą spokojniejszą, rozsądniejszą, praktyczną, jakby przystosowaną do warunków miejscowych. W Żanecie przeciwnie, chcącej uchodzić za Polkę, zachwycającej się poetami polskimi i pracującej razem z bratem nad wydobyciem żydów „z upodlenia nicości kosmopolitycznej", mimo zewnętrzny pokład cywilizacyi współczesnej, przechowała się w całej pełni gorąca natura południa, tak dobrze zaznaczona przez autora w paru scenach siostry Natana z Zyzmą. Postać hrabianki Brańskiej mniej się wydaje jednolitą i jest wzięta z fantazyi, nie z rzeczywistości.

Galeryę kobiecych postaci „Zyzmy" dopełnia żona Topaza, stara Rut, łagodząca wieczne nieporozumienia męża z młodszym synem, oraz parą sylwetek z arystokratycznego świata galicyjskiego, kreślonych przez Sewera z właściwą mu satyrą i niechęcią.

KRONIKA.

Lwów 19 lutego.

Mianowania w krajowem biurze melioracyjnem Wydziału krajowego: Inżynierami I klasy zostali: Karol Boziewicz, Paweł Dyrdoń, Jan Hapanowicz, Tadeusz Gedel. Inżynierami II klasy zostali: Sylwery Strzelbicki, Stanisław Ruebenbauer, Jan Haładej, Dyonizy Horwarth. Inżynierami adjunktami zostali: Julian Misiakiewicz, Andrzej Kornella, Konstanty Wiśniewski, Maryan Röhrich, Tadeusz Korasadowicz. Inżynierem - asystentem został Józef Górski.

Bal prasy przyniósł 1.077 zł. 17 ct. czystego dochodu.

P. Z. Przybylski powrócił do zdrowia i objął kierownictwo teatru lwowskiego po dwumiesięcznej chorobie.

Odznaczenia. Grzegorz Smajka, robotnik w młynie Barucha w Krakowie, otrzymał srebrny krzyż zasługi.

Karol hr. Lanckoroński, właściciel Komarna i Rozdołu, sprzedał jeden z większych swych majątków Orłowiec, w pow. czerkaskim, razem z miasteczkiem i cukrownią p. Meryngowi z Kijowa. Orłowiec posiada 4.000 dziesięcin przestrzeni i został sprzedany za 700.000 rubli. Hr. Lanckoroński rozdzielił pomiędzy służbę 30.000 rubli, a nadto każdy z oficyalistów otrzymał gratyfikacyę w wysokości rocznej pensyi.

Ślub. W dniu wczorajszym o godzinie 6 wieczorem w lwowskim kościele OO. Karmelitów, pobłogosławiony został związek małżeński pana Stanisława Grabowskiego, dyrektora kasy zaliczkowej w Dukli, z panną Zofią Szumską, córką Wandy i Teofila Szumskiego, znanego literata i współpracownika *Gazety lwowskiej.* Po dopełnionym obrzędzie, rodzice panny młodej w domu swoim podejmowali liczne grono krewnych, przyjaciół i bliższych znajomych

Z Czytelni katolickiej O. Norbert Golichowski, prowincyał OO. Bernardynów, będzie miał we czwartek odczyt „O ziemi świętej".

Jako kandydata na posła do Rady państwa z mniejszych posiadłości okręgu Złoczów-Przemyślany zaproponują Rusini w miejsce radcy ministeryalnego dra Płażka, emer. radcę sądowego Rożankowskiego.

Bułgarski uniwersytet. Z Sofii donoszą: Z okazyi chrztu księcia Borysa ofiarował bułgarski bankier Evloghii Gheorghiew kwotę 800.000 fr. na budowę uniwersytetu w Sofii.

Zmiana nazwiska. Namiestnictwo pozwoliło lekarzowi pułkowemu dr. Schapirze na zmianę nazwiska rodowego Schapira na Sorda.

Ofiara lichwy Do czego doprowadzić mogą lichwiarze, te pijawki wyzyskujące nieoględność, lekkomyślność i fatalne zawikłanie finansowe niektórych jednostek, dowodzi najlepiej fakt, o którym donoszą pisma wiedeńskie. Generalny sekretarz i inspektor kolei północnej w Wiedniu, człowiek mający kilkanaście tysięcy złr. dochodu rocznego i ożeniony z osobą bardzo bogatą, wpadł wskutek wystawnego i nieoględnego życia w ręce lichwiarskie. Raz w nie wpadłszy, nie mógł się z nich wydobyć. Lichwiarze zaczęli go uciskać, a gdy płacić im nie mógł olbrzymich procentów, zażądali od niego wielkiej ilości kart wolnych, których rozdawnictwo spoczywało w jego rękach. Chcieli zapewne kartami prowadzić handel bardzo zyskowny. Ale sumienny, choć w nieszczęśliwych stosunkach żyjący urzędnik, nie dał się skusić bezczelnym wyzyskiwaczom i kart im nie dał. Wtedy lichwiarze zaczęli go przyciskać do muru i doprowadzili go do takiej rozpaczy, że sobie wczoraj wystrzałem z rewolweru życie odebrał.

Bal polski w Dreźnie. Z Drezna piszą: Dnia 28 z m. odbył się tu koncert i bal urządzony staraniem koła studenckiego „Lechitia", istniejącego w tutejszej akademii technicznej. Zabawa zgromadziła w przystrojonych zielenią salach królewskiego Belwederu kwiat bawiącego tu obecnie towarzystwa polskiego. Gospodyniami balu były: hr. Mielżyńska i bar. Swirtun; gospodarzami zaś pp.: hrabia Breza, Gajewski i jenerał Unrug. Na bal przybyło także bardzo liczne towarzystwo cudzoziemskie, złożone przeważnie z Niemców i Anglików. W koncercie rozpoczynającym zabawę, a pozostającym pod artystycznem kierownictwem profesora Augusta Souvestre'a brały udział uczenice tego profesora pp.: Bulikowska, Hohenbergerówna i Jaczynowska, były śpiewak opery lwowskiej p. Gabryel Górski, oraz saski wiolonczelista nadworny p. Nebelong. Po koncercie rozpoczął się bal polonezem przy dźwiękach orkiestry węgierskiej pod przewodnictwem p. Wład Bernaka. Zabawa przeciągnęła się do godziny 6-tej rano, a pozostawiła najmilsze wspomnienie w pamięci wszystkich obecnych.

Zaręczyny. W sobotę dnia 15 lutego właściciel dóbr Brzeżan i Narajowa hr. Jakób Potocki syn śp. Stanisława i żyjącej Maryi z ks. Sapiehów małżonków Potockich zaręczył się w Warszawie z panną Ludwiką Karnicką, córką Michała i Konstancyi z hr. Sołtyków Karnickich.

Pożar teatru opery w Kijowie wybuchł dnia 16 b. m. o godzinie $4^1/_2$ po południu po przedstawieniu dziennem opery Czajkowskiego „Eugeniusz Oniegin". Gmach teatralny zgorzał do szczętu, pożar wszczął się w garderobie męskiej. Wieczorem miało być dane ostatnie w sezonie przedstawienie rosyjskiej opery. Na wielki post miała być sprowadzona opera włoska. Prawdopodobnem jest, że się zapaliły kulisy od strzału, jaki w ostatnim akcie daje Oniegin do Lenskiego. Ogień rozszerzył się z bajeczną szybkością. W ciągu 15-tu minut sala widzów zamieniła się w morze płomieni. Pożar trwał całą noc. Zgorzały wszystkie dekoracye, bo-

gata biblioteka i instrumenty muzyczne. Antreprenerka Sethofer-Sielowa poniosła olbrzymie straty. Tenor Myszuga utracił wspaniałe kostyumy. Artyści opery postradali cenne instrumenty. Gmach teatru był oświetlony elektrycznością. Zbudowany w roku 1856, ubezpieczony był w Towarzystwie miejskiem wzajemnego ubezpieczenia na rs. 162.924. Budowla była stawiana bez zapasowych wyjść. Gdyby pożar wybuchnął wcześniej, katastrofa przybrałaby straszne rozmiary i ofiarą jej padłaby cała publiczność. Dokoła teatru gromadzą się tłumy. Wielu modli się, dziękując Bogu, że pożar wybuchnął po przedstawieniu. Ofiar w ludziach nie ma.

Zabójstwo. Z Tarnopola donoszą, że dwudziestokilkoletni włościanin z Horonowa Hryńko Lewicki tak obił swego opiekuna Iwana Jeremija, że ten zmarł wskutek ran odniesionych. Przyczyną zabójstwa były nieporozumienia co do rachunku z opieki.

Fortele lichwiarzy. Dzienniki warszawskie podnoszą, że pomimo tego, iż ostatnimi czasy wydano ustawę, wedle której lichwa karaną ma być według kodeksu kryminalnego, lichwiarze w Królestwie polskiem wcale nie zarzucili swego rzemiosła, lecz — jak wykazuje praktyka sądów — wynaleźli zręczny sposób obejścia niewygodnej dla siebie ustawy. Nie wymawiają więc sobie, jak dawniej wysokich procentów; nie nękają dłużników, którzy w terminie z długu się nie uiszczą, procesami; lecz zanim dadzą im pożyczkę, już mają w ręku bicz na nich, a sami wobec ustaw są nibyto czyści. Proceder ich — jak czytamy w pismach warszawskich — jest następujący:

„Wobec nowego prawa przyjaciel ludzkości, pożyczający na lichwę, dopóty nie jest pewny siebie, dopóki nie ma wyroku w rękach. W sądzie pozwany mówić może dużo, nawet za wiele, może bronić się, oskarżyć lichwiarza o pobieranie procentów niedozwolonych, jednem słowem może ściągnąć na głowę przyjaciela ludzkości burzę, której pioruny przybierają formę trzymiesięcznej wieży albo wysokiej kary pieniężnej. Z chwilą jednak, gdy lichwiarz wyrok uzyskał, może być spokojnym o siebie. Komornik nie rezonuje, lecz wykonywa

Odpowiednio więc do warunków zmieniać się zaczyna procedura pożyczania. Dawniej osoba pożyczająca dostawała pieniądze, a potem dopiero szła do sądu. dziś osoba pożyczająca idzie przedewszystkiem do sądu a później dopiero dostaje pieniądze.

— Kochany panie, — mawia obecnie lichwiarz — nastały teraz paskudne czasy. Ja panu pieniędzy nie dam.

— Ależ ja pieniędzy dostać *muszę*, — woła proszący o pożyczkę.

— *Musisz* pan? A, to co innego. Jeżeli *mnsisz*, pójdziesz ze mną do sądu, ja pana pozwę, ja sprawę wygram, pan dasz się ostrzydz, jak baran, a potem dopiero dostaniesz pan pieniądze.

I osoba ta idzie do sądu, dług w sądzie przyznaje, lichwiarz wyrok uzyskuje i i teraz dopiero, gdy ma w kieszeni dokument, zapewniający mu bezkarność, oddaje dłużnikowi pożyczkę na warunkach, jakie sam uzna za stosowne.

Jest to przykład bynajmniej nie pojedyńczy, który stwierdza raz jeszcze, że lichwa skutecznie zaczyna przekradać się przez prawne przeszkody barierami prawa cywilnego a karnego, zwężony tak silnie przez ostatnie prawo. To trudno, człowiek, który *musi* dostać pieniędzy za wszelką cenę i na to ceny zgodzić się musi. Pomysłowości nie brak lichwiarzowi, był przeto może, iż niebawem „paskudne czasy" staną się mniej paskudnemi na pociechę lichwy, jak lekkomyślność ludzka nieśmiertelną".

Przysłowia ormiańskie. Nie rzucaj kamieni na drzewa, które nie rodzą owoców. — Prawą ręką rzuca on kurom ziarna, lewą zabiera im ich jaja. — Bóg pomaga nieopatrznemu. — Gdy nie możesz być bogatym, to bądź przynajmniej sąsiadem bogacza. — Oczy tego, który kupuje, są w rękach tego, który sprzedaje. — Serce głupca znajduje się na jego języku, język mędrca jest w jego sercu. — Wybieraj sobie żonę okiem starca, a wierzchowca okiem młodzieńca. — [illegible] — Bogactwo robi brzydkich pięknymi, kulawych prostymi, ślepych widzącymi.

Zmarli. W Konstantynopolu zmarła w 88 roku życia, Marya Czajkowska, wdowa po Sadyk paszy, znanym i osławionym Michale Czajkowskim. — W Krakowie Władysław Leśniak, asystent przy katedrze inżynieryi rolniczej w Uniwersytecie Jagiellońskim, umarł w 29 roku życia.

Stan powietrza. T. o 9 rano — 5° R., w poł. — 3° R. Bar. 771. Nieruchomy. Pochmurno.

Okrutny ambaras.

— Przyjacielu! Kocham, jestem kochany!

— A, winszuję. Toć szczyt szczęścia!

— Hm... tylko widzisz: to nie ta sama kobieta...

Na Wałach hetmańskich.

— Jak pan myślisz, czy można dać Iksowi na kilka dni tysiąc złr.?

— Ja tam nikomu nie odradzam, po co mam sobie robić nieprzyjaciół, ale sambym nie dał.

— Powiada, że może dać gwarancyę...

— Daj pan spokój z jego gwarancyą! Przy dzisiejszym trybie gotówki jaką on może mieć gwarancyę? chyba od zegarmistrza.

Straszna pogróżka. Córka zagorzałego wegetaryanina odzywa się do ojca:

— Papo, jeśli nie kupisz mi nowego kapelusza, wyjdę za — rzeźnika.

Z aforyzmów starego zrzędy.

Najwięcej szacunku i wdzięczności miej dla rodziców, którzy nie pozwolili ci się ożenić ze swoją córką.

Niewiasty zalotne i fronty kamienic bardzo starannego i stałego potrzebują remontu.

Kobieta, jeżeli kocha, tylko kocha; mężczyzna, chociaż kocha, ma czas i na bardzo wiele innych rzeczy.

Z teatru. Jutro we czwartek pierwsze przedstawienie „Hannele" Hauptmanna. Dziś wieczór odbędzie się ostatnia próba generalna z dekoracyami i kostyumami z tego zajmującego widowiska. Marya de Nunzio, która z tak wielkiem powodzeniem wystąpiła w „Aidzie", ukaże się po raz drugi w „Hugenotach" w partyi Walentyny. Rolę Urbana odśpiewa znakomita nasza śpiewaczka Aleksandra Dąbrowska.

Od piątku rozpoczną się pamięciowe próby z komedyi M. Bałuckiego pt „Sprawa kobiet".

BIURO
przedwyborczych komitetów Centralnego i Obywatelskiego otwarte dla stron interesowanych w Pasażu Hausmana l. 5.

Literatura i Sztuka.

* **Opera.** Wczorajsze przedstawienie „Aidy" wypadło pod względem solistów tak dobrze, jak tylko można życzyć sobie. Nowa śpiewaczka panna de Nunzio posiada nie tylko przedziwny, dźwięczny, wielki głos, i doskonałą szkołę, ale nadto ma w swej grze i śpiewie tyle poezyi i uczucia, że odrazu zdobywa sobie serca słuchaczy. To też oklaskiwano ją wczoraj i wywoływano bez liku razy po każdym akcie.

Dla sceny naszej i ożywienia repertuaru operowego jest panna de Nunzio znakomitym nabytkiem i panu dyrektorowi Przybylskiemu powinszować możemy tej śpiewaczki.

Pani Dąbrowska walczyła wczoraj o lepsze z panną de Nunzio i zdobywała także ogromne oklaski. Nawet p. Warmuth był wczoraj wybornym i na zupełną zasłużył pochwałę.

O wybornym zawsze p. Jerominie i o panu Szymańskim musimy z całem uznaniem wspomnieć; za to reżyserya sztuki i wystawa nie stały na wysokości zadania. Lecz pomijając te usterki, podnieść musimy wczorajsze przedstawienie, jako z najlepszych w tym sezonie.

* **Jana Burgera Galicyjska Księga adresowa** Lwów, 1896, cena 2 zł. — Brak tego rodzaju publikacyi uczuć się dał dotkliwie Podczas gdy za granicą prawie każde, nawet najmniejsze miasteczko posiada swoją książkę adresową, u nas w Galicyi nic jeszcze na tem polu nie zrobiono. Książka, której tytuł podaliśmy wyżej, jest nieocenionym nabytkiem dla naszych kupców, przemysłowców i rolników; zawiera adresy przemysłowców, fabrykantów, rzemieślników i kupców ze wszystkich miast i miasteczek, oraz znaczniejszych miejscowości w Galicyi, a prócz tego banków i wszystkich instytucyi. Alfabetyczny spis miejscowości ułatwia użytkowanie z książki, a podnoszą jej wartość dodatki, zawierające listę adwokatów, spis ajencyi krakowskiego Towarzystwa wzajemnych ubezpieczeń, wykaz polskich artystów malarzy i rzeźbiarzy, spis hodowców zwierząt rasowych, zakłady i miejsca kąpielowe itd.

* **Jeszcze Polska nie zginęła.** Pieśni patryotyczne i narodowe zebrał Franciszek Barański. Wydanie drugie pomnożone. Lwów, nakładem księgarni polskiej.

Drugiego wydania doczekało się już to wydawnictwo odznaczające się wielu dodatniemi zaletami, z których nie najmniejszą jest bardzo ładne wykonanie techniczne. Całość składa się z dwóch części: pierwsza obejmuje muzykę, druga tekst pieśni zawartych w pierwszej części. Łatwy układ fortepianowy melodyi przyczyni się bezsprzecznie do tem szybszego rozpowszechnienia się wydawnictwa, tem bardziej, że znakomite „Echa z r 1830/31" p. J. Horoszkiewicza są już zupełnie wyczerpane.

Rozmaitości.

— **Hrabianka de Teba.** Pod tym tytułem jeden z miesięczników hiszpańskich, *La Espana Moderna*, ogłasza w ostatnim zeszycie pracę na nieznanych dotychczas dokumentach osnutą, a zawierającą wiele charakterystycznych przyczynków do historyi małżeństwa Napoleona III.

Przedewszystkiem słówko o pochodzeniu rodziny Montijo. Ród ten wywodzi się z początków czternastego wieku, a na kartach dziejów Hiszpanii zajmuje poczesne stanowiska. W roku 1784 urodził się w Madrycie don Cipriano de Guzman Portacarrero y Palafox który później (po śmierci brata Eugeniusza w roku 1833) został spadkobiercą majątków rodzinnych i tytułów szlacheckich, a między innémi i korony hrabiowskiej Montijo. Don Cipriano de Guzman służył w wojsku przez cały czas wojny o niepodległość i dosłużył się stopnia pułkownika. Ożenił się z Maryą Emanuelą Henryką Kirkpatrick z Closburn i Grevigné, córką Wilhelma Kirkpatricka, barona szkockiego. Z małżeństwa tego urodziły się dwie córki: Franciszka Portacarrero y Kirkpatrick, druga Marya Eugenia Guzman Palafox y Kirkpatrick Fernandez z Korduby y Leyra, urodzona w Grenadzie dnia 5 kwietnia 1826. Cypryan de Guzman, ósmy hrabia Montijo, umarł dnia 15 stycznia 1839 roku. Majętności rodzinne i tytuły przeszły na dzieci: starsza córka otrzymała tytuły hrabiny Montijo, de Miranda, de Fuentiduenos; młodsza, Marya Eugenia, do swych tytułów heraldycznych dołączyła koronę hrabiny de Teba, de Banos, de Mora, de Ablitas i de Santa Cruz de Sierra margrabiny de Meya, de Ardales y de Osera, wicehrabiny de la Calzada itd. Nie było chyba tytułu szlacheckiego w Hiszpanii, do któregoby ta rodzina nie miała prawa.

Hrabina de Montijo, wdowa po Cyprynie VIII, po śmierci męża poświęciła się wyłącznie edukacyi córek, które towarzyszyły matce w podróżach do Grenady, Malagi, Madrytu, Paryża, Dublina i Londynu. Dziewczęta otrzymały wykształcenie świetne. Obie — odznaczające się arystokratyczną pięknością typu raczej angielskiego niż hiszpańskiego — ukazały się prawie jednocześnie w salonach najwyższej arystokracyi francuskiej i angielskiej, dokąd miały wstęp łatwy dzięki zarówno mnogości swych tytułów rodowych, jak bogactwu matki. Traktowane też były na równi z księżniczkami krwi na dworach Madrytu, Paryża i Londynu. Franciszka wyszła w młodszych latach za księcia Albę de Tormes.

Podczas jednej z licznych swych podróży do Anglii hrabina Montijo poznała Ludwika Napoleona ks. Bonapartego, który od roku 1846 (po ucieczce z Ham) oczekiwał z niecierpliwością okazyi powrotu do Francyi. Było to w przededniu wydarzeń lutowych roku 1848; od kilku miesięcy pewne symptomy kazały przewidywać zmiany we francuskim ustroju politycznym. Książę, który już raz ze względów potycznych nakazał sercu milczenie przez zrzeczenie się projektu małżeństwa z księżniczką Matyldą, był usposobienia milczącego, spokojnego; zaś od czasu wygnania z Londynu miał myśl wyłącznie sprawami swej kandydatury na tron francuski zajętą. Napisał w tym czasie dwie broszury p. t. „Idee napoleońskie" i „Koniec pauperyzmu", w których wyłożył swoje poglądy polityczne i socyologiczne. Jednakże od pierwszego spotkania zajął się żywo 19letnią hrabiną de Teba. Hrabina Montijo, jako przezorna matka, od razu spostrzegła wrażenie, jakie córka wywołała na pretendencie, a po krótkim czasie doszła do przekonania, iż żywe uczucie owładnęło sercem córki. Postępowała jednak z taktem wielkim i niczem nie upoważniała ks. Ldwika Napoleona do nadziei, dopóki wypadki nie wysuną osoby księcia na pierwszy plan.

Książę nie zapomniał o pięknej Hiszpance. Nie zwierzał się nikomu, ale wiadomo, że kochał ją przez lat pięć. Prawdopodobnie nie czynił pannie nawet wyznań, choć spotykał ją na zabawach w Elyzeum, Wersalu i Fontainebleau. Od czasu swego powrotu do Francyi, nazajutrz po upadku Ludwika Filipa aż do plebiscytu w roku 1852 nie spuszczał z oczu kochanki, która w Londynie skuła jego serce więzami najsilniejszego w życiu uczucia. Gdy w styczniu r 1853, w parę tygodni po ogłoszeniu cesarstwa, wiadomość o małżeństwie Napoleona III-go z Maryą Eugenią przybrała charakter urzędowy, dzienniki angielskie opowiadały, że w dniu zamachu stanu hrabina Montijo zjawiła się w Elyzeum i.. ofiarowała mu rękę córki. Małe dzienniki paryskie pochwyciły w lot wiadomość i zaopatrzyły ją w liczne komentarze. Jak twierdzi autor artykułów w *La Espana moderna*, wszystkie te wieści wysnute były z fantazyi, któż bowiem mógł wiedzieć, co się działo pomiędzy matką a przyszłym zięciem? Prawdopodobną jest wersya, iż w czasie jednego z polowań w Compiègne hrabianka Teba, w gustowny kostyum myśliwski odziana, wywarła na Napoleonie tak silne wrażenie, iż oświadczył się natychmiast i ofiarował Maryi Eugenii koronę Francyi Zresztą i ta wersya ma swoich przeciwników, którzy twierdzą, iż Ludwik Napoleon oddawna już zamierzał pojąć Maryę Eugenię za małżonkę, a po wstąpieniu na tron zamiar dojrzał tylko i w czyn się zamienił. W rodzinie cesarskiej projekt napotkał na żywą opozycyę; jedynie tylko księżna Matylda po cichu romantycznym zamiarom Napoleona sprzyjała i urządzała w salonach swoich przyjęcia w kółku dobranem, na które zapraszała hr. Montijo z córką Tam właśnie Napoleon spotkał po powrocie z Compiègne kochaną kobietę, która niezadługo miała z nim dzielić ciężar korony cesarskiej.

Następująca anegdota, dotycząca przyjęć u księżny Matyldy, daje poznać, jak młoda hrabianka umiała trzymać na wodzy zakochanego:

Wieczór w dniu 31 grudnia 1852 roku Napoleon spędził u księżny Matyldy, dokąd przybył na pół godziny przed północą. Towarzystwo siedziało około kominka w salonie głównym, gdy zegary zaczęły wygłaszać północ. Zgodnie z francuskim zwyczajem, książę wstał i złożył pocałunek na czole księżny Matyldy. Tak samo postąpił sobie z innemi damami, zgromadzonemi w salonie. Ale gdy zbliżył się do Maryi Eugenii, ta powstrzymała go wachlarzem:

— Panie — rzekła — zwyczaj ten nie jest przyjęty w moim kraju. Oto wszystko, na co mogę panu pozwolić.

I podała mu rękę, na której Napoleon złożył pełen szacunku pocałunek

Pierwsze oświadczenie cesarza radzie ministrów, że wybrał hrabiankę de Teba za małżonkę, wywołało zdumienie. Koła polityczne i dworskie mniemały, iż Napoleon szukać będzie małżonki wśród księżniczek na wielkich dworach panujących, tem bardziej, iż pewne dane pozwalały mniemać, iż niektóre dwory skłonne były do zawiązania bliższego stosunku z dworem cesarskim. Powoływano się na precedens, mianowicie na małżeństwo Napoleona I z jedną z arcyksiężniczek austryackich. Z ministrów jeden tylko Fould stanął otwarcie po stronie Napoleona. Persigny i Saint-Arnaud nie nastawali na związek z księżniczką rodu panującego, ale doradzali małżeństwo z córką którego z wielkich marszałków Francyi lub jenerałów z pierwszego cesarstwa, co, jak mówili, pochlebi dumie narodowej i połączy sympatycznym węzłem tradycyę pierwszego cesarstwa z nowem panowaniem Inni, jak jenerał Gémeau, twierdzili, iż cesarz powinien ożenić się z kuzynką Piusa IX, córką hrabiego Feretti, w ten sposób bowiem cesarstwo pozyska sobie poparcie stronnictwa katolickiego.

Na wszystkie te uwagi cesarz odpowiedział milczeniem. Prasa europejska przemawiała przeciwko projektowi, dzienniki londyńskie ośmieszały zamiary Napoleona, gazety wiedeńskie i berlińskie wprost je ganiły. Wpływy te odbiły się deprymująco na położeniu finansowem i handlowem Francyi. Wszystkie giełdy zaznaczyły znaczną zniżkę papierów francuskich Aby zwalczyć tę niechęć, Napoleon powołał do Tuilleries dygnitarzy stanu i tu, w obecności wuja swego króla Hieronima oraz kuzyna Napoleona, w długiej mowie wyznał, iż postanowienie jego jest nieugiętem i że nie życzy sobie, aby sfery dworskie wdawały się w krytykę projektu. Ciało jednak dyplomatyczne nie dostało zaproszenia na zgromadzenie.

— Uważam sobie za chwałę — mówił cesarz — że jestem, jak Napoleon I-szy, parweniuszem w koronie, zamierzam tedy ożenić się, jak pierwszy konsul, który nie wahał się pojąć Józefinę za małżonkę.

Dodał następnie, iż Napolen I-szy tylko w tym związku małżeńskim był zupełnie szczęśliwy, choć zawarł go bez zwracania uwagi na racye stanu. Cesarzowa, uposażona we wszystkie najwyższe zalety ducha, będzie ozdobą tronu i Francyi. Mowa cesarska, ogłoszona przez dziennik urzędowy, odrazu zmieniła charakter odezw prasy angielskiej. Przeciwnie w Berlinie uznano za prowokacyę pochwałę, oddaną pamięci Józefiny. Większość dzienników z za Renu zamieszczać zaczęła artykuły, podburzające opinię niemiecką przeciwko Napoleonowi. Wszystko to jednak ścichło niebawem, a w rok już później Napoleon, popierany przez Austryę, Włochy, Anglię i Turcyę, słał armię francuską do Krymu.

Tymczasem insynuacye i złorzeczenia, jakiemi darzono stosunek Napoleona III do hrabianki de Teba, znalazły echo w plotkach, szerzonych przez prasę zagraniczną na rachunek przyszłej świekry cesarza Francuzów. Czego wówczas nie pisano, czemu nie dawano ucha! Nie mogąc znaleźć nic uwłaczającego w przeszłości hrabiny de Montijo, zaczęto zarzucać jej interesowność, twierdzono, iż oddała rękę córki jedynie dla tego, aby otrzymać tytuł księżnej cesarstwa, mieszkanie w Elizeum i milion franków rocznej pensyi. Ale wszystkim tego rodzaju zarzutom zaprzeczyły niebawem fakty. Hrabina Montijo opuściła Paryż natychmiast po ślubie cesarza w kościele Notre Dame i natychmiast po ukończeniu uroczystości dworskich, urządzanych przez dni kilkanaście z tytułu małżeństwa cesarza. Chcąc zaś dać dowód bezinteresowności, namówiła córkę do zrzeczenia się prezentów, które z okazyi zaślubin miały być udzielone nietylko przyszłej cesarzowej, ale i jej matce Municypalność Paryża złożyła na ręce prefekta Sekwany sumę 900.000 fr., z których 600.000 miało być przeznaczone na kupno naszyjnika brylantowego dla przyszłej władczyni Francyi. Ale hrabianka de Teba wystosowała list do prefekta, w którym wyraźnie zaznaczyła życzenie, aby całą sumę przeznaczono na cele dobroczynne. „Uważam za niestosowne — brzmi jeden z ustępów listu — aby pierwszy czyn publiczny, z którym ma być połączone moje imię, obciążał wielkim ciężarem budżet miasta Paryża". Jakoż życzeniu przyszłej małżonki cesarskiej stało się zadość: sumę 900.000 fr. przeznaczono na budowę przytułku dla sierót im. cesarzowej Eugenii.

W tym duchu pisane są artykuły w *La Espana Moderna*. Autor pracy nie podpisał się, ale dobrze wiadomo, iż artykuły owe zamieszczone były w miesięczniku hiszpańskim z inicyatywy francuskiej partyi bonapartystów, która od pewnego czasu za pośrednictwem wpływowych organów prasy zagranicznej stara się rehabilitować pamięć Eugenii, jako cesarzowej Przedewszystkiem rzeczą nową w tej pracy jest szczegółowa, poparta dokumentami genealogia domu Montijo, jako odpowiedź na liczne w ostatnich czasach broszury angielskie, starające się zarzucić hrabinie Montijo mglistość pochodzenia. Dokumenty te poświadczone są przez madryckie urzędy heraldyczne, a jak twierdzą rzeczy świadomi, wydobycie z pyłu bibliotecznego i odszukanie rozproszonych w różnych miejscach dokumentów kosztowało francuską partyę bonapartystów całe dziesięć lat pracy. Zebraniem tych materyałów w jedną całość zajmuje się podobno młoda księżna d'Alba, siostrzenica Eugenii, stale zamieszkała w jednym z zamków Andaluzyi, słynna sportsmenka, której jednak szpicruta nie przeszkadza do dzielnego władania piórem. Ogłoszone w *La Espana Moderna* dokumenty są pierwszemi strzałami w kampanii, mającej na celu rehabilitacyę byłej cesarzowej Francyi

Tyle już czytaliśmy złego o Eugenii, zapamiętajmyż, co przyjaciele zgnębionej przez los cesarzowej piszą o niej dobrego. Zanim historya wypowie o niej ostatnie słowo, chciejmy wierzyć, iż prawda leży zazwyczaj pośrodku, pomiędzy sądami ujemnemi a dodatniemi. Potępiać łatwiej, niż być pobłażliwym.

Część ekonomiczna.

Wiedeń 17 lutego.

(Z.) Sobotnia reakcya, wywołana projektem znacznego podwyższenia podatku giełdowego, została dziś przełamana Z wyjątkiem rent, które w dalszym ciągu spadały, panował zresztą na targu walorów spekulacyjnych ruch wcale ożywiony. Największym popytem cieszyły się kredyty. Utrzymywały się bowiem stale pogłoski, że dywidenda tego banku będzie bezwarunkowo wyższą, niż zeszłoroczna (19 zł.), a nadto mówiono także wiele o tem, że bank przygotowuje kilka niespodzianek w postaci nowo zawiązać się mających przedsiębiorstw przemysłowych. Berlińska giełda wywierała wprawdzie pewien nacisk na kursa, gdyż wiadomości z Korei wywołują tam pewne zaniepokojenie, ale w rezultacie korzystna tendencya naszej giełdy utrzymała się. Obligacye bułgarskie, które ostatnimi czasy tak ogromnie się podniosły, od soboty spadają w cenie. Monety złote podrożały, gdyż paryscy kapitaliści nie wypuszczają obecnie z rąk gotówki ze względu na odbyć się mającą w dniu 22 lutego subskrypcyę na 80-milionową pożyczkę tonkińską. Obligi tej pożyczki już dziś uzyskały premię 5 franków, pomimo że jeszcze się nie pojawiły na targu. Obliczają, że pożyczka ta pokrytą będzie 15—20 razy, a zatem kapitał około pół miliarda franków zostaje przez to uwięziony.

Ostatnie notowania:

Kredyty austr. 384·40, węgierskie 437·75, Anglobanki 174·50, Uniony 320·75, Bankvereiny 148·50 Länderbanki 259·25 Ludwiki 220·65, Czerniowieckie 295·—, Elbethale 281·—, Renta papierowa 100·95, srebrna 100·90, austryacka złota 121·95, austr. renta wal. kor. 100·75, węgierska złota 122·35. węgierska renta wal kor 99·20. dukat 5·68 20-frankówka 9·60½, marki 11·82, ruble 1·28¼.

Wiedeń 17 lutego. Spirytus 14·80—14·90.

§ **Sprawozdanie z targu zbożowego na Kleparzu** Kraków 18 lutego.

Chwilowo zachodziła obawa, że zasiewy, ogołocone ze śniegów, mogą łatwo od mrozów ucierpieć, lecz powietrze znowu się ociepliło i ta okoliczność na usposobienie handlu zbożowego oddziałała niepomyślnie, gdyż chęć do kupna osłabła widocznie, a ceny pszenicy i żyta obniżyły się cokolwiek. Inne produkta dla braku obrotów trzymają się w cenie niezmiennie.

Płacono pszenicę białą: 7·60 do 7·85; czerwoną 7·55 do 7·80 złr.; żółtą 7·55 do 7·80 złr.; żyto 6·75 do 7·00, jęczmień browarny 6·— do 6·70 złr.; na paszę 5·35 do 5·75 złr.; owies 0·00 do 0·00 złr.; — wykę —·— do —·— złr.; rzepak 0·00 do 0·00 złr. Wszystko za 100 kilogramów.

Bank galicyjski dla handlu i przemysłu.

§ **Z targu na bydło.** Wiedeń 17 lutego. Na dzisiejszy targ dowieziono wołów galicyjskich 890, węgierskich 2912 i niemieckich 654, razem 4456 sztuk. Płacono za woły galicyjskie lichsze lekkie 28 do 30, dobre ciężkie 31 do 33, osobliwe wyjątkowo 34 do 37 zł., za buhaje i krowy 20 do 30 zł. wszystko na wagę żywą.

Teodor Romaszkan, Wassergasse 23.

§ **Giełda towarowa.** Wiedeń 18 lutego. Cukier surowy loco Aussig 16—16.50, loco Ołomuniec 15.10—15.20, loco Berno Wiedeń 15.25 do 15.35. Cukier rafinowany prima loco Wiedeń 34—34.50, sekunda 33.75—34.25. Spirytus kontyngentowy loco Wiedeń 14.70—14.90. Petrolej kaukazki transito Tryest 5, galicyjski przeźroczysty 20.50.

Telegramy „Przeglądu".

Londyn 19 lutego. Wczoraj przedłożono parlamentowi dalszy ciąg Księgi błękitnej w sprawie ormiańskiej, zawierającą depesze od 3 września 1895 do 11 lutego 1896. W dniu 9 października minister hr. Gołuchowski, obawiając się katastrofy, wyraził życzenie, aby wspólnie działać z Anglią. W dniu 2 listopada sądził hr. Gołuchowski, że dalsze instrukcye dla ambasadorów są niepotrzebne, gdyż uczynili wszystko, co było w ich mocy, aby Turcyę ochronić przed następstwami jej bezczynności. W dniu 4 listopada wypowiedział ks. Łobanow zdanie, że głównie odpowiedzialność za stan rzeczy spada na Anglię, a to z tego powodu, że ormiańskim komitetom dodawała otuchy. W dniu 11 listopada zwrócił się sułtan do Anglii o pomoc, obwiniając Ormian, że intrygami i buntem swoim nie pozwalają wprowadzić reform, oraz uskarżając się na niesłuszne zarzuty prasy angielskiej.

25 listopada poruszył Currie na konferencyi ambasadorów myśl skłonienia sułtana do zamianowania odpowiedzialnego ministerstwa. Myśl tę poparła większa część ambasadorów. Nelidow nazwał ten krok mięszaniem się w wewnętrzne sprawy Turcyi. 20 listopada oświadczył się Łobanow przeciw pogróżkom interwencyi, gdyż mocarstwa powinny zostawić Turcyi czas i oczekiwać decyzyi sułtana. 11 grudnia postawił Currie na konferencyi ambasadorów pytanie, czy ambasadorowie nie chcą poczynić kroków w celu uśmierzenia rzezi w Azyi Mniejszej, na co oświadczył Nelidow, iż propozycya taka musiałaby wyjść od gabinetów.

20 grudnia uznał Gołuchowski, iż jest rzeczą nader niebezpieczną przystąpić do bliższego zrealizowania projektów, któreby mogły rozbić koncert europejski, oraz wyraził przekonanie, że należy pozostawić sułtanowi zupełnie do wyboru drogę, jaką chce obrać. Mansow wyraził swe przekonanie, iż Gołuchowski doradza, by trzymać się zdala od wszelkiej interwencyi. 7 stycznia powtórzył Gołuchowski, iż wszelka dalsza akcya mogłaby poruszyć całą kwestyę wschodnią i rzucić niejako iskrę do beczki z prochem Wywołałoby to gorszą katastrofę, niż oczekiwanie spełnienia obietnicy sułtana i przywrócenia porządku w Turcyi.

Dnia 19 stycznia stwierdził Salisbury, że Rosya nie zgadza się na żadną interwencyę w wewnętrzne sprawy tureckie i ufając dobrej woli sułtana nie chce wywierać żadnego nacisku, sięgającego po za przyjacielskie rady Rosya jest w tem zapatrywaniu osamotnioną, zerwanie zaś harmonijnych stosunków pomiędzy mocarstwami ciężej zaważyłoby na szali, niż ewentualna korzyść, uzyskana przez akcyę, na własną rękę przeprowadzoną

W końcu podaje księga błękitna na zasadzie autentycznych sprawozdań liczbę ofiar zabitych podczas rzezi w Azyi Mniejszej na 25 tysięcy, nie wliczając w to rzezi, o których brak wiadomości.

Wiedeń 19 lutego. Wczoraj po południu odbył się pogrzeb zmarłego ochmistrza dworu ks. Hohenlohego. Kondukt pogrzebowy wyszedł z kościoła Karmelitów, zwrócił się ku Votivkirche i następnie skierował na cmentarz währingski. W pogrzebie brali udział Cesarz, arcyksiążęta, oraz wielu dygnitarzy.

Nowy Jork 19 lutego. W fabryce bielizny „Troy" wybuchł pożar. Pomiędzy robotnicami powstała panika; wiele robotnic rzuciło się z okien piątego piętra na ulicę, przyczem kilka zabiło się. Około 30 robotnic nie odszukano, zapewne spłonęły.

Wiedeń 19 lutego. Konserwatywny klub Hohenwarta uchwalił głosować za przekazaniem projektu reformy wyborczej, przedłożonej przez rząd, do komisyi wyborczej. Ogólny pogląd klubu na projekt reformy wyborczej określi hr. Falkenhayn w czwartek przy pierwszem czytaniu. Klub zastrzega sobie na razie wolność co do decyzyi w sprawie niektórych szczegółów.

Berlin 19 lutego. Parlament przekazał komisyi wniosek socyalistów w sprawie zmiany ustaw o zgromadzeniach i o stowarzyszeniach. Przeciw temu głosowali konserwatyści.

Madryt 19 lutego. Depesza jenerała Weylera potwierdza wiadomość, że powstańcom powiodło się odnieść dość ważne korzyści strategiczne, ale wojska rządowe ścigają energicznie oddziały powstańcze.

Londyn 19 lutego. Izba niższa przyjęła adres do tronu.

Times donosi, że sułtan podpisał nową pożyczkę turecką.

Rzym 19 lutego. We Florencyi umarł b. minister włoski Krzysztof Negri.

HOTEL ŻORŻA.
Lwów — Plac Maryacki.

Przyjechali dnia 18 lutego. J. Dolańska z Baranowa R. Puzyna z Piadyk. M dr. Rosenstock ze Skałatu. J ks. Świdrygełło-Świderski z Tarnowicy. E, br. Hohendorff z Ryszowa. N. Gołaszewski z Toustobab. R. Waldeck z Olszanicy. R. Petermichl z Wiednia.

NADESŁANE.

Rubryka ta nie pochodzi od Redakcyi, nie bierze też ona za nią na siebie żadnej odpowiedzialności.

Lwów dnia 19 lutego, (Z izby handlowej.)

Akcye za sztukę Kolej gal. Karola Ludwika za 200 zł. m. k. 219·50 do 222·50, Kolej Lwowsko-Czern.-Jasska po 200 zł. w. a. 297.— do 300.—, Banku hypotecznego po 200 zł. w. a. 385.— do 390.— Akc. garbarni w Rzeszowie po 200 zł. w. a. 200.— do 203.—. Tow. budowy wagonów w Sanoku 250.— do 260.—.

Listy zastawne za 100 zł.: Banku hipot. galic. 5 proc. los. w 40 lat. 5 proc. z 10 proc prem. 109·80 do 110·50, 4 i pół proc. los. w 50 lat 99.80 100·50, Banku kraj. 4 i pół. proc. los. w 51 lat. 100·50 do 101.20, Banku kraj. 4 proc. los. 57 lat. 97·50 do 98·20 Tow. kred. gal. ziem. 4 proc. (I emisya) 97.30 do 98·50 4 proc. los w 41 i pół latach 97.60 do 98.30 4 proc. los. w 56 lat. 97·50 do 98·20.

Obligi za 100 zł.: Gal. fund. propinacyjnego 4 proc. 97.60 do 98·30 Bukowińskiego fund. propin. 5 proc. 1[illegible] do —.— Kom. Banku kraj. 5 proc. (II emisyi) 102.— do 102.70 Pożyczki kraj. 5 proc. 105·— —·—, 4 i pół proc. 99·70 do 100.40, 4 proc. z r. 1891 97.— do 97·70, 4 proc. [illegible] 97.— do 97.70

Wiedeń 19 lutego. Notowania wieczorne. Kredyty 384 —, węgierskie kredyty 437.75, anglobank 174·50, bankverein 148·50 unionbank 320·50, länderbank 259·75, staatsbahny 373.25 lombardy 101.50, elbethale 281.75, akcye tytoniowe 195.—, renta 252.75, alpiny 87·70, renta majowa 101.00, węg. renta złota —·—, austr renta koronna —.—, losy tureckie 61·25, węg. renta koronna 99·15, marki 59.12, ruble 128.25.

94)

MAFFIA

POWIEŚĆ

przez

G. Le Faure'a

(Tłumaczenie baronowej Zofii Hartinghowej).

(Ciąg dalszy).

Nastała względna cisza. Wtedy narzeczony Maryi Smither odezwał się silnym głosem:

— Danielu Holleyu, dzięki niespożytej twojej energii i inicyatywie, ludność Nowego Orleanu odzyskała dziś spokój i bezpieczeństwo, oswobodziwszy się raz na zawsze od łotrowskiej bandy, grasującej po mieście i okolicach. Karygodnej niesprawiedliwości urzędników przeciwstawiłeś sprawiedliwość ludu. Obywatele, proszę was więc o przechowanie we wdzięcznej pamięci wspomnienia tego, co wasz spółrodak uczynił dla was.

Zaledwie domawiał tych słów, gdy kula świsnęła w powietrzu i przeszyła na wylot jego kapelusz, który stoczył się na ziemię.

Instyktownym ruchem Daniel Holley rzucił się ku niemu i uczepiwszy się rękoma atletycznych ramion przyjaciela, zmusił go do schylenia się ku ziemi.

Jednocześnie rozległ się drugi strzał i adwokat z przestrzeloną skronią upadł w znak na trawę.

Burza wściekłości zawrzała w tysiącu piersi naraz i gdy stojący opodal rzucili się na ratunek nieszczęśliwemu, drudzy pod przewodnictwem d'Etrillaca biegli do sąsiednich domów, z których o ile się zdawało, padł strzał.

W niespełna pięć minut kilka podejrzanych budynków przeszukano od strychu do piwnic. Właściciele sami dopomagali tłumowi do odszukania winowajcy.

Lecz wszystkie zabiegi były daremne i gdy d'Etrillac wrócił do Jauneta, który nie wypuścił z rąk swojego jeńca, na milczące zapytanie agenta odpowiedział desperackiem wzruszeniem ramion.

— To jedna więcej sprawka Luiggiego — mruknął mały policyant.

I w duchu przysiągł sobie, że nie wróci do Francyi, póki do rąk swoich nie dostanie tego bandyty.

XXVII.

Trzy tygodnie upłynęły od wyżej opisanych wypadków.

Ślub Rajmunda d'Etrillaca i Maryi miał się odbyć na trzeci dzień, a para narzeczonych, razem z babką, kończyła właśnie spożywać śniadanie w jadalnej sali willi Smither.

Twarz młodej oblubienicy jaśniała radością, a oczy jej, promieniejące najgłębszem uczuciem, nie odrywały się od przyszłego męża, który z roztargnieniem popijał kawę.

Szczęście, do którego młoda dziewczyna wzdychała od tak dawna, miało nareszcie stać się jej udziałem. Za dwa dni węzeł dozgodnej przysięgi połączy ją z pięknym, ukochanym Rajmundem, a na tę myśl zapominała, po jak ciernistej drodze szła do upragnionego celu i jak tragiczne przebyła przejścia w których kilkakrotnie o mało nie postradała życia.

Nie domyślała się biedna, że błogi spokój, jakiego zażywała teraz, był tylko złudzeniem i że niebezpieczeństwo, które sądziła, iż oddalone było od niej na zawsze, czyhało na nią z blizka.

Nie podejrzywała nawet, jak czujnie strzeżona była przez d'Etrillaca i Jauneta, którzy nie odstępowali jej na chwilę. We dnie i w nocy otaczali ją baczną opieką, przewidując, że wystrzał, który położył trupem na miejscu nieszczęśliwego Holleya, nie był ostatni z ręki Luiggiego Merellego.

Od dnia, w którym ludność Nowego Orleanu tak krwawo pomściła krzywdy swoje na maffistach, wódz znikł bez śladu i mimo całej energii d'Etrillaca i przebiegłości Jauneta, nie można go było odszukać.

Przeczucie jednak mówiło im, że znajduje się gdzieś w blizkości, że krąży dokoła nich niewidzialny, czyhając tylko na sposobność wywarcia okrutnej i ostatniej zemsty.

To też, o ile Marya radowała się z blizkiego już dnia zaślubin, o tyle jej narzeczony z każdą godziną, która go zbliżała do owej chwili, stawał się bardziej niespokojny i zamyślony.

Cała oddana swojemu szczęściu i miłości, młoda dziewczyna nie zwracała uwagi na szczególne, a tak nielicujące z okolicznościami usposobienie swojego ukochanego, który zresztą dokładał wszelkich starań, aby ukryć przed nią swoje obawy. Tego rana jednak twarz jego była tak posępna, a rozmowa przerywana, że Marya nie mogła się powstrzymać od zapytania go:

— Co ci jest, mój drogi? Wydajesz się być smutnym.

On drgnął i szybko przesunął ręką po czole, aby wygładzić zmarszczki, wywołane natężeniem myśli.

— Otrzymałem wiadomości.. z Francyi — odparł — które nabawiają mnie kłopotu.

— W jakiem znaczeniu?

— W tem, że krzyżują one nasze plany. Musimy bez zwłoki czasu odbyć naszą, projektowaną na później, podróż do Europy.

— Mieliśmy jechać w końcu miesiąca?...

— Istotnie, moja droga. Tymczasem tak się niefortunnie złożyło, że wypadnie nam wsiąść na pierwszy statek, odpływający z New-Yorku; z kościoła musimy się udać wprost na kolej.

Mówiąc to, przybrał ożywiony ton, aby wprowadzić w błąd swoją narzeczoną.

Marya zawołała:

— Jak to?... od razu?... Czyż podobna?!...

W tej chwili zastukano do drzwi i Jaunet stanął w progu.

Na widok jego d'Etrillac drgnął nieznacznie i wzrok swój w milczącem zapytaniu zwrócił ku niemu.

Odpowiedź, zakomunikowana tą samą drogą, snać sprawiła młodemu człowiekowi głębokie zadowolnienie, bo zawołał:

— Nareszcie!

— Cóż się to stało? — zapytała pani Smither, wskazując gościowi krzesło.

— Wyobraź sobie, pani, że od tygodnia tropię grubego zwierza w okolicach willi... dzika, jeśli się nie mylę.

— I znalazłeś go pan? — wtrąciła miss Mary.

— Tej nocy. A że wiem, iż pan d'Etrillac jest zapalonym myśliwym, przyszedłem go uprzedzić o tem.

Rajmund wstał.

— Dziękuję ci, że pomyślałeś o mnie, kochany przyjacielu — rzekł.

— Odchodzicie zaraz? — spytała Mary.

— Tak, pani, nie ma czasu do stracenia. Musimy zarządzić obławę, a że zwierz jest przebiegły, jak lis, więc to rzecz niełatwa.

— W takim razie proszę cię o pięć minut czasu, żeby się przebrać — rzekł d'Etrillac, kierując się ku drzwiom. — Potem służę ci

Gdy wyszedł, Mary zapytała Jauneta:

— A jakże się miewa biedny pan Marchand?

Twarz policyanta posmutniała nagle.

— Umarł przedwczoraj, pani — odparł.

— Biedny człowiek! — szepnęło dziewczę z głębokiem politowaniem. — Jakaż to ciężka boleść dla jego córki! Czy widziałeś go pan przed śmiercią?

— Skonał na moich rękach — odparł agent. — Poszedłem zasięgnąć o nim wiadomości w szpitalu, do którego kazałaś pani przenieść rannego, i zastałem go już dogorywającym. Uparł się pisać list i to go do reszty z sił wyczerpało.

Poszukał w kieszeni, wyjął z niej kopertę i podając młodej dziewczynie, rzekł:

— List ten jest do pani.

Miss Mary rozpieczętowała kopertę i na skrawku papieru, zapisanym drżącem i zaledwie czytelnem pismem, odczytała co następuje:

„Droga pani! Koniec mój się zbliża; przychodzę więc przypomnieć ci daną mi niegdyś obietnicę. Ocaliłem życie twojemu narzeczonemu, teraz ty ocal moje dziecko. Życie jest ciężkie i twarde dla biednej dziewczyny, pozbawionej przyjaciół i wszelkich związków rodzinnych. Przyjmij więc opuszczoną sierotę pod swój dach i zatrzymaj ją przy sobie aż do dnia, gdy uczciwy i porządny człowiek poprosi cię o jej rękę. Dzień ten, sądzę, jest niedaleki. Dziękuję pani i żegnam ją. Bądź szczęśliwą, jak na to zasługujesz..."

Narzeczona Rajmunda odczytywała ten list półgłosem, a gdy doszła do ustępu, w którym umierający nadmieniał o przypuszczalnem małżeństwie córki z uczciwym i porządnym człowiekiem, Jaunet zarumienił się z lekka.

Młoda dziewczyna, podniósłszy wilgotne od wzruszenia oczy, spostrzegła pomięszanie agenta i zaraz jej przyszło do głowy, że może Hutnik miał jego na myśli.

— Pan kochasz Marcyę! — zawołała.

— Czy ją kocham.. — odparł zakłopotany — ja sam nie wiem... Lecz gdy ją ujrzałem po raz pierwszy, doznałem silnego wstrząśnienia całej mojej istoty. Potem, przez ostatnie trzy tygodnie, widywałem ją codziennie u łoża umierającego ojca... i teraz nie przestaję myśleć o niej...

— Nic dziwnego — szepnęła Mary — ona taka piękna, taka oryginalna z tym swoim na pół dzikim charakterem, z pod którego przebija tkliwa i kochająca dusza kobieca.

(Ciąg dalszy nastąpi).

Redaktor odpowiedzialny: Wacław Masłowski. Papier z fabryki Fijałkowskich w Białej. Z drukarni zar. W. Manieckiego, Zarządca W. Hodek.